



Do użytku wewnętrznego

praca

rok 4 nr 7⁽¹⁷⁾ 1989

Piotr Skurowski

MIT AMERYKAŃSKI

Kiedy młody George otrzymał od swego ojca na urodziny nową, ostrą siodkierę, postanowił niezwłocznie ją wypróbować. Atoli wybór obiektu na ćwiczenia z siodkierą okazał się dość niefortunny: było nim ulubione przez ojca drzewko wiśnówce. Kiedy pan Waszyngton - senior odkrył wyrządzoną szkodę, wpadł w orogi gniew i postanowił surowo ukarać winowajcę. - *George, czy to twoja sprawa?* - zapytał swą niepoprawną latorośl widziony złusznym przeczcuciem rodzic - *Tak, to prawda, ojciec - odparł przysiężony prezydent - to ja ściałem drzewko moją siodkierą. - Pójdź w me ramiona - zaczął chłopcze - odparł wzruszony ojciec, głęboko ujęty szczerością i odwagą syna.*

Ta apokryficzna historia, opowiedziana przez Mansona Wecasa, jednego z twórców legendy Waszyn-

gtona, stanowi nieodłączną część mitologii Ameryki. Nie ma chyba Amerykanina, który nie usłyszał jej kiedyś w szkole - choćby z okazji narodowego święta, jakim są urodziny Ojca Narodu Amerykańskiego. Jej zadziwiająca długowieczność świadczy o tym, że ma ona cechy mitu - zawiera silne emotywne asocjacje, znajdując nieznaczące odzwierciedlenie w kolejnych pokoleniach Amerykanów. Na jej popularność miała zapewne wpływ wyraźna symbolika freudowska. Nic trudnego dostrzec tu analogie z mitem Edypa: młody George, ścinając drzewko swym nowym, ostrym narzędziem - symbolem męskości, przeciwstawia się autorytetowi ojca, popełniając na nim rytualny mord. Lecz na tę warstwę archetypową nałożone są skojarzenia historyczne, czyniące

cd na s. 3

BRUTALNY, CHCIBY, ZŁY...

O czerwonym kapitalizmie rozmowa z Maciejem Jankowskim

- Jak zdefiniowałbyś tzw. "realny socjalizm"?

- Zupelnie do bani, nieefektywny, degradujący człowieka.

- To właśnie nazywasz "czerwonym kapitalizmem"?

- Nie, on dopiero może się narodzić z realnego socjalizmu, a raczej może być jednym z wariantów rozkładu tego systemu. Nie wiadomo, czy będzie formą przejściową, czy też utrwali się. Traktuję go jako zagrożenie dla społeczeństwa.

- Jak wyobrażasz sobie ten system?

- Odpowiedź ściśle wiąże się z wyjaśnieniem, kto może zostać kapitalistą. Zbliża się całkowita zmiana stosunków własności. Widac już tego pewne objawy. Coraz wyraźniej elita pieniądza wiąże się

z elitą władzy, a raczej - ta

ostatnia przekształca się w elitę pieniądza. Ideologia jest martwa.

- Chyba już od połowy lat sześćdziesiątych?

- Ale jeszcze do niedawna była zachowywana jako atrapa i sztandar. Ponadto oficjalnie wymagano zachowania establiszmentu były inne. Teraz zmieniło się to wszystko. Najbardziej chyba w partii.

- "Partia w przemianach, przemiany w partii"?

- Jako siła polityczna partia coraz mniej się liczy. Rzeczywiście jest w przemianach. Wielu funkcjonariuszy partyjnych, ludzi z nomenklatury związanych z systemem, z rynkiem ma już dość swojej niejasnej sytuacji. Oni wiedzą, że system oparty na ideologii już dawno padł. Na świecie i

cd. na s. 23

W numerze n.in.

M. Zwoliński, FEDERALIŚCI I REPUBLIKANIE * D. T. Critchlow, DEMOKRACJA W EPOCE JACKSONA * P. Skurowski, AMERYKA REAGANA * P. S. AMERYKA BUSA? * G. Adler, STRAJK W PORT ELIZABETH * ROZMOWA Z MACIEM ZALEWSKIM * T. Zyfo, O KAPITANACH PRZEMYSŁU I BARONACH ROZBÓJNIKACH * I. Krzemiński, KIM BYLI ODWAŻNI Z URSUSA * K. Stanowski, WYCHOWANIE RELIGIJNE W HARCESTWIE * H. Litwin, KOŚCIOŁ GRECKOKATOLICKI * A. Urbański, PRZED CZERWCEM

Grzegorz Godlewski AMERYKA - ZA SZYBĄ

Niemal wszyscy, którzy stamtąd wracają, sprawiają wrażenie, jakby dostąpili jakiegoś wtajemniczenia. Gdy już rozdadał wozytkie przywiezione koszulki i zapalniczki, gdy opowiedzą najbarwniejsze dyktoryjki o tamtejszych ekstrawagancjach i najdrastyczniejszych plotki o osiadłych tam rodakach, zwykle milkną, opoglądają gdzieś w przestrzeń i wygłaszają kwocic: Tam t r z c b a pojochad...

Cóż, wydawałoby się, że to zrozumiałe: gdzież dziś pielgrzymować, dokąd wyruszać w podróż edukacyjną, jeśli nie do najnowszego ze światów, jeśli nie do kraju, który jest źródłem wiekowiec wynalazków i wzorów życia, układających się na uniwersalny syndrom nowoczesności. Okazuje się jednak, że nie całkiem w tym rzecz. Oto bowiem o potrzebie, ba, n i c o d z o w n o ś c i wyprawy za Atlantyk prawią na równi entuzjastki postępu cywilizacyjnego i nieufni tradycjoniści, technokraci i humaniści, miłujący ład patriotów i anarchiści-bezpaństwowcy, konformiści i outsiderzy, ludzie idący sybaryci, starcy i młodzi, wierzący i niewierzący... Quod libet czyli - co kto lubi. To prawda: cechą szczególną Ameryki jest to, że... jest wiele Ameryk. Nowa, rzecz jasna, o wielkich podziałach: tym historycznym - na Północ i Południe, i tym dominującym współcześnie - na Wschód i Zachód. Ale różnie jest znacznie więcej. Dzielnice, regiony, miasta, dzielnice, środowiska, pokolenia, rodziny. Na dobrą sprawę dla każdego rodzaju zainteresowań, okłonności, upodobań znaleźć można sferę ukontentowania. Choć z drugiej strony można opędzić życie w którejś z Ameryk nie wiedząc nic o istnieniu innych. Nic wiedząc na przykład - o spotkaniu takich! - kto jest aktualnym prezydentem Stanów Zjednoczonych. Nie ma w tym przogady: to kraj nieograniczonych możliwości, kraj, w którym znaleźć można wszystko. Zrealizowana utopia pluralizmu - nie tylko i nie tyle politycznego i związkowego.

Fenomen Ameryki nie sprowadza się jednak do fantazyjnej skali jej różnorodności, tworzącej dziwną układankę, w której każdy znajdzie miejsce, gdzie paouje idealnie. Gdyby tak było - świat

cd. na s. 3

ANDRZEJ URBAŃSKI

PRZED CZERWCEM

Chciałbym zastanowić się dzisiaj nad dwiema sprawami. Pierwsza to sytuacja polityczna, która wyklania się z zawieranego kontraktu, a której istotnym elementem będzie czerwcowy plebiscyt wyborczy. Sprawa druga zaś to szczególnie sytuacja opozycji, która po 42 latach wraca do Sejmu.

O sprawie pierwszej, jak sądzę, wotować dwie rzeczy warto wiedzieć - Dziśkanią poprzez osoby, które w obradach okrągłego stołu uczestniczą, chociaż czynią to z wiadomych względów bez delegacji Klubu, podpisuje się pod zawartym kontraktem. Taki jest stan faktyczny i jako ludzie polityki musimy tę faktyczność w kalkulować we wszelkie nasze rozważania. Nie uprawiamy bowiem publicystyki politycznej na osobiste ryzyko, lecz uczestniczymy w grze, której podmiotami są ludzie i środowiska, przekonania, pewne zasady i pewne wartości. Dlatego też dziś decydujemy nie tylko za siebie, ale także i za tych, którzy nam zawierają, za środowiska, które nam poprzę, za wartości, które będziemy propagować i sprawdzać później w praktyce.

Okrągłym stołem rządzą dwiema logikami. Strona rządowa z wieloletnich względów zmuszona jest dokonać częściowej przebudowy państwa i systemu władzy w Polsce, nie dysponuje jednak żadną klarowną wizją tej przebudowy. Rządowi politycy i publicyści dywagują o destalinizacji, ale podstawowym brakiem ich wypowiedzi jest milczenie w kwestii fundamentalnej - nie istnieje żaden model nieustaleniowego państwa realnego socjalizmu. Rządowa wizja, którą można zrekonstruować z wielu cząstkowych wypowiedzi, oprowadza się do wzoru państwa dyktatorskiego: pełnia niezawisłości i praw dla Prezydenta, którego podporządkowany jest rząd, sądownictwo, wojsko, policja i maso-media oraz demokratyczna dktoracja w postaci Senatu i Sejmu, w których rządząca partia ma zagwarantowaną większość. W "Polityce", organie premiera Rakowskiego, felicitoniści wstydliwie bąkają o Korci Południowej jako wzorze dla PRL, choć bliższy rzeczywistości jest wzór republik południowoamerykańskich. Paragwaj - przed lub po upadku generała Stroonera - taką przyszłość przygotowuje się Polsce w rządowych gabinetach. Opozycja i "S" mają podpisać kвіт narodowej zgody na ten model i wziąć na siebie współodpowiedzialność za ekono-

miczne koszty kapitalizacji gospodarki. Bez prawa kontroli - dodaje stanowczo premier Rakowski.

Strona opozycyjna prezentuje program minimum: legalizacja i instytucjonalizacja zawodowej i obywatelskiej podmiotowości. Jeden pakiet spraw stanowi kwestie: NSZZ "S", Związku Zawodowego Rolników, NZS-u, stowarzyszeń i samorządów, prasy związkowo-opozycyjnej, wydawnictw, dostępu do radia i telewizji, ograniczenie cenzury. Pakiet drugi - reforma gospodarki to cena, jaką przyjdzie nam zapłacić za ten dziwny mariaż. Dlatego też wysunięto projekt indksoacji płac jako jedynego - prawnego, nie zaś ekonomicznego - gwaranta utrzymania minimum pracowniczych zarobków. I oto paradoks: nasi przyjaciele optują w większym stopniu niż rząd za utrzymanie centralizacji gospodarki (ktos musi dzielić pieniądze zarobione w jednym zakładzie dla ludzi w tym, który nie wykonuje planu). Podpisane przy stole pakta mogą dekretować kulawy mechanizmy ekonomiczne. Trudno, taka jest sytuacja, ale jednocześnie należy stwierdzić, że oto wkraczamy w czas ekonomicznego prowizorium. Nie twierdząc, że problem jest łatwy do rozwiązania (więcej rynku, czy więcej zabezpieczeń dla ludzi pracy?), wyślę jednak, że strona opozycyjna zbyt pochopnie przystała na plan socjaldemokratyzacji gospodarki. Wybrano wariant przeciwdziałający dynamizacji przemyśle. Odwołano się do wzoru przebogatej Szwecji, zapominając chociażby o projekcie ustanowienie minimum płacowego. Owo minimum mogłoby podlegać indksoacji, inne zarobki natomiast kształtowałyby się według praw ekonomicznych.

Zapomniano o śmiałych planach restrukturalizacji gospodarki, w której aktywny udział powinny brać nowe podmioty własności - związki zawodowe i stowarzyszenia. Zapomniano wreszcie o akcjonariacie pracy. Obawiam się, że za takie decyzje będziemy płacić wszyscy, dlatego dobrze byłoby już dzisiaj znać z imienia i nazwiska autorów tej koncepcji. I dobrze byłoby już od dziś dyskutować projekty natępnych kroków, niezbędnych, by kraj zaczął się wydobywać z ekonomicznego dna. Jedno jest pewne - nie da się jednocześnie prowadzić gry rynkowej i gry o dyktatorskie stołki. Nomenklatura i wolny rynek to dwa żywioły nie do pogodzenia, jeśli dominującą formą własności jest tzw. własność państwowa.

Jest i inne niebezpieczeństwo. Strona rządowa domaga się, by - używając barwnego wyrażenia ministra Urbana - małżeństwo zostało skonsumowane. A znaczy to, że system dyktatorski ma być firmowany przez opozycję i "S". Już dzisiaj wiadomo, że część opozycji nie zgodzi się na tę formułę, wiadomo również, że rozegra się walka o nicangazowanie "S" w ten układ. Jaki będzie efekt tego sporu, trudno dziś powiedzieć. Jedno jest pewne - z ognia polcaik wyłoni się nowa "S": albo ruch związkowy, albo ruch społeczny, który wzmnie współodpowiedzialność za kształt i formę dyktatorskiego systemu. Wszystkim tym (a i oobim), którzy będą na różno sposoby uczestniczyli w tym wyborze warto uwiadomić do końca, że rodzący się system polityczny musimy od początku traktować jako przejściowy: trochę stalinizmu, trochę demokracji. Nie mamy prawa skazywać Polaki na taką hybrydę. I nie mamy prawa płacić w tym układzie ceny utraty tożsamości "S". Politycy, grupy opozycyjne, środowiska idcowe mogą podjąć ryzyko podobnych decyzji, zrozumiałych jedynie w krótkoterminowym planie wyjścia z impasu stanu wojennego. Prawda bowiem jest taka, że okrągły stół cofa nas do sytuacji z 12 grudnia 1981 roku, tyle tylko, że wszystkie strony tamtego konfliktu są niepomocnie słabsze niż wówczas. Słabsza też jest w ogóle kondycja Polaki. Dzisiaj ratunkiem dla tego kraju jest wszystko to, co popuwa sprawę demokracji chociaż o milimetry do przodu. Jutro, za rok, dwa okaże się, że dzisiejsze rozwiązania są anachroniczne i hamują proces przemiany. Zaczął się bowiem proces, nie zaś - jak sądzi wielu - ostatni akt polskich zmian.

Krok w stronę polityki zinstytucjonalizowanej jest konieczny, ale jednocześnie ogromnie niebezpieczny. Nadal - jak pisał Jan Strzalecki - społeczeństwo obywatelskie jest u nas zjawiskiem kształtującym się w płaszczyźnie opinii, nie w polu struktur. Polityka, którą chcemy realizować, nie może odwołać się ani do zorganizowanych podmiotów, ani do wykształconych obywateli. Po tylu dziesięcioleciach komunistycznego władania Polską nie istnieje normalne praktyki obywatelskie wobec państwa i instytucji je tworzących. To, co dzisiaj czyni opozycję siłą polityczną to właśnie opinia - zbiory przeróżnych sądów, fobii, stereotypów, resentymentów, nieuoyotcaizowanych przekonań... Dla polityka pragnącego racjonalizować zarówno swoje postępowanie, jak i środki oraz cele, które pragnie realizować, ta gleba polityczna jest niezmiernie niebezpieczna. Grozi argumentacją emocji i demokracją masową podatną na

ed. na s. 27

"PRACA": Biuletyn Duszpasterstwa Ludzi Pracy Warszawa,

Kościół św. Klemensa, ul. Karolkowa 40,

tel. 32-00-43, wew. 64. Dyżur redakcyjny: środa, 16.00 - 17.30.

Redaktor odpowiedzialny: Andrzej Urbański Zespół: Michał Boni, Grzegorz Godlewski, Przemysław Hniedziewicz, Robert Kalina, Paweł Kactory, Teodor Klincowicz, Andrzej Kostarczyk, Ironcusz Krzeminski, Jarosław, Kulikowski, Tomasz Lis, Marcin Oblicki, Maciej Radziwiłł, Tadeusz Sobolewski, Marzena Szpakowska, Stanisław Turnau, Piotr Wróbel, Maciej Zalcowski, Aleksandra Zawłocka, Tomasz Zyro.

z opowieści Weemsa mit amerykański. Nie przypadkiem zapewne gatunek drzewka wiśni, tak bezceremonialnie potraktowany przez młodego Waszyngtona, nazwany został przez Weemsa *wiśnią angielską*. Oto bowiem w przyszłości bohater tej opowieści, już jako dojrzały mężczyzna, stał się przywódcą rebelii przeciwko despotycznemu rządowi władcy Anglii - króla Jerzego III, aby oam z kolei zyskać miano ojca młodego narodu. Naród ten śladem swego legendarnego bohatera wykarczować miał w przyszłości wiele drzew, nim dokonało się niewybaczalne na pozór dziecko podboju i zasiedlenia ogromnego kontynentu. Lecz mimo całej determinacji i bezwzględności, z jaką nacja pionierów podjęła swą misję cywilizacyjną, odznaczała się ona - we własnym odczuciu - cechami, jakie przypisywano Jerzemu Waszyngtonowi: prawością charakteru, uczciwością, odwagą połączoną z siłą i stanowczością. Są to cechy klasycznego bohatera amerykańskiego amerykańskiego *supermana*, które znalazły między innymi wyraz w mitologii klasycznego westernu. Zabrakło tej uczciwości i cywilnej odwagi prezydentowi Nixonowi, który zmuszony został do ustąpienia ze stanowiska w 1974 roku. Było to wydarzenie, którego nie potrafili pojąć Europejczycy. Jak to możliwe, aby przywódca potężnego mocarstwa utracił cały swój prestiż i poparcie z powodu "głupiego" incydentu, jakim było zakończenie podkuchu w kwatery partii opozycyjnej? Skąd nagle tyle oburzenia, a nawet niechęci wobec kogoś, kto jest "tylko" politykiem, a więc osobą jakby z natury rzeczy nie predestynowaną do roli świętego? Jimmy Carter, ubiegający się w roku 1976 o fotel prezydencki, zdawał sobie dobrze sprawę z tego, jak istotną rolę - szczególnie w dobie prania brudów po aferze Watergate - mógł odwołać się do wartości amerykańskich. W najbardziej chyba znaczącej scenie ze swego reklamowego filmu, pokazwanego przed wyborami w telewizji, Carter, siedząc w dżinsach na płocie swej farmy orzeszków, patrzył prosto w kamerę, składając wyborcom ślub godny Jerzego Waszyngtona: *Uwierzyć mi, Ja nigdy was nie okłamie*.

Nie jest dziś w modzie w Stanach Zjednoczonych - mówić o amerykańskich wartościach z równą pewnością siebie, co w latach 1950-tych czy nawet 60-tych. Podkreśla się wielowymiarowość kultury amerykańskiej. Są nawet opinie, że mieści ona w sobie zbyt wiele wzorców, aby można było łatwo znaleźć wspólny mianownik amerykańskości. W jakim sensie Indianie, Murzyni, Portorykańczycy, czy też inni - coraz liczniejsi - przybysze z Ameryki Łacińskiej bądź Azji, mogą czuć się potomkami Ojców Założycieli? Czy mogą odczuwać jakas więź z tradycjami pionierów czy kowbojów, którzy zresztą sami niewiele mieli wspólnego z elitą XVIII-wiecznych dzentelmenów, autorów Deklaracji Niepodległości i Konstytucji? W kraju dotychczas uważanym za anglosaski swoją niezależność kulturową i światopoglądową podkreślają dziś tak zwane mniejszości

ci narodowe i rasowe, kwestionując znaczenie krótkich skądinąd tradycji Stanów Zjednoczonych. Oskarżenia o klasowy punkt widzenia bądź o etnocentryzm obrońcy amerykańskich tradycji w ostatnich latach zmuszani są do odpicrania zajadłych ataków ze strony feministek, poddających rewizji przeszłość Ameryki. Podobnie jak Murzyni czy cini, widzą one historię Stanów Zjednoczonych w kategoriach konfliktu między rządzącymi a rządzonymi, tyle że zamiast o hegemonii rasy białej nad Murzynami czy klasy średniej nad proletariatem mówią one o hegemonii mężczyzn nad kobietami. Ruchy te usiłują doprowadzić do detronizacji, dądz nadania nowego oblicza kluczowym symbolom kultury amerykańskiej. I tak ów kamień węgielny demokracji amerykańskiej - Konstytucja, przez marksistów uważana za przykład klasowego punktu widzenia, a przez niektórych Murzynów za dziecko w gruncie rzeczy rasistowskie, uznana została przez feministki za produkt grupy ludzi, których nazwać by można *czarnymi szowinistami*. Przed atakami nie oparła się też inna ostoja amerykańskości - religia. W latach sześćdziesiątych część Murzynów odrzuciła religię chrześcijańską jako *religię białego człowieka*, wstępując do cekt czarnych muzułmanów, wyznającej, iż to Bóg-Allah jest czarny, zaś Szatan - koloru białego. Dziś trwają prace feministycznych teologów nad wydaniem *odseksualizowanej Biblii*, z której usunięto zostaną fragmenty wyrażające szowinistycznie *czarni* światopogląd. W szkołach i uniwersytetach propagowana jest tolerancja wobec wartości alternatywnych. Relatywizm kulturowy i światopoglądowy, prowadzi nieraz - w sposób paradokalny - do dyktatury małych, acz agresywnych grup nacisku. Zaprzestaje się rozpowszechniania tekstów, lektur, które choćby w najmniejszym stopniu uraziłyby mogły uczucia "mniejszości". Na przykład amerykańska klasyka - *Przygody Hucka Finna* usuwane są z listy lektur wielu szkół ze względu na rzekomo rasistowski wydźwięk. Usuwa się z półek podręczniki historii, w zbyt małym stopniu potępiające dyskryminację rasową bądź dyskryminację płci słabszej. Wśród krytyków współczesnej kultury amerykańskiej można napotkać pogląd, iż w wychowaniu młodego pokolenia brak treści pozytywnych, że na skutek owej "skrajności" tolerancji nastąpiło istotne zubożenie ideowe, brak zgody co do podzielanego szeroko wartości, prowadzący do swoistego zubożenia i nihilizmu. Taki punkt widzenia podziela autor bardzo głośnej ostatnio książki *The Closing of the American Mind (Upadek umysłowości amerykańskiej)* Allan Bloom, piszący między innymi: *Jest jedna rzecz, którą profesor może być absolutnie pewien: nicomal każdy student wstępujący na uniwersytet uważa lub przynajmniej twierdzi, iż prawda jest względna*.

Można zdawać sobie sprawę z tego, iż kultura amerykańska nie jest monolitem, że nie da się sprowadzić w niej kwestii klasy, płci, aspektu rasowego czy konf-

pcynie stałby się wkrótce Ameryką, a kategoria *powracających* znikłaby doszczętnie. Tymczasem niejasną świadomością szczególnej doniosłości doświadczenia amerykańskiego zdają się mieć i *powracający* i *pozostający*; ci, którzy wybierają Amerykę błogosławiając ją, i ci, którzy czynią to samo - przeklinając; zakochani od pierwszego wejrzenia i niedowolnie zrażeni. Uznanie fenomenu tego kraju ma się nijak do kwestii jego oceny i związanych z tym wyborów życiowych, w których też trudno dopatrzeć się jakiejś prawdziwości. Rodzimi entuzjści Ameryki po osiągnięciu obiektu swych pożądań - pozostają nimi lub czym prędzej zmieniają fan-club; sceptycy nawracają się lub utwierdzają w swym sceptycyzmie, rozpolitykowani krzepną w swych przekonaniach lub zapisują się do obozu przeciwnego, albo też odkrywają, że to wszystko przestało ich obchodzić; ślepi odzyskują wzrok albo dodatkowo tracą słuch i powonienie... Zasady nie ma w tym żadnej. Wspólnie w tych rozbieżnych reakcjach jest może to jedynie, że zetknięcie się z Ameryką stanowi coś w rodzaju doświadczenia progowego, w pewien sposób angażującego całość jednostki, całą jej wizję świata, przekonania, hierarchię wartości. Bywa, że prowadzi to do gwałtownych zwrotów i apostazji, bywa też jednak, że człowiek pozostaje przy swoim, tyle że dotychczasowe przekonania żywi w jakiś nowy sposób - jakby mniwiej naiwnie, jakby trzeźwiej, dojrzalej.

Na czym polega ten *progowy* charakter nie tyle samej Ameryki, co naszego doświadczenia Ameryki? Wydaje mi się, że ta podróź na najdalej Zachód jest dziś czymś w rodzaju inicjacji. Jest wkroczeniem w świat spełnionych marzeń. Stajemy oto oko w oko ze ziszczonym modelem świata, który przynajmniej w naszej części globu stanowi obiekt powszechnych tęsknot. I to nie tylko tych, które zatrzymują się na poziomie nieprzystawnej obfitości dóbr i kolorowych snów elektronicznych mediów. Także tych żywych wciąż - wbrew zręcznym zmanierowanym intelektualistom - tęsknot za światem równości i wolności, Witkacowskich *domków z ogródkami* dla wszystkich i urzeczywistnionej zasady *wolność Tomku w swoim domku*, za światem nieokrepanego rozwoju cywilizacyjnego i doskonałej racjonalizacji życia - od urzędzenia kuchni do urzędzenia ludzkiej duszy. Elementy tego modelu można by mnożyć albo zastąpić innymi - chodzi o to wszystko, co od tak dawna tworzy mit "Ameryki", będący w mniejszym stopniu idealizacją tamtejszych realiów, w większym - projekcją niezaspokojonych aspiracji kolejnych pokoleń rodaków. Współcześnie wiele z tych aspiracji może wyglądać na anachroniczne, płankie, wręcz fałszywe - trudno jednak wymagać, by idee ascety były przekonujące dla tych, którzy praktykują tę cnotę w konieczności, a wzwania do ograniczenia wzrostu trafiły do tych, którzy wciąż jeszcze muszą się wspinać na palce...

Ameryka - ta bez cudzysłowu - stwarza okazję pomakowania świata

faktycznie zorganizowanego wedle tych zasad, które dla wielu stawały oczywiście antidotum na rodzimy czyściec. Oto wreszcie możemy znaleźć się po drugiej stronie wytaśmy akłepowej, w świecie oglądanym dotąd jedynie przez szybę. To cudowne przejście uświadamia jednak, że świat witryny jest, owszem, prawdziwy, ale też ma swoje prawa, których działania nie widać, gdy patrzy się nań z nosom rozplanzonym na szybę. Efekt szyby polega na skłonności do czystej kontemplacji tego, co najatrakcyjniejsze w niedostępnym świecie. Znalazłszy się po drugiej stronie trzeba już, niestety, przyjąc do wiadomości, jak funkcjonuje cały sklep. Trzeba przyjąc do wiadomości, że urzeczywistnienie ideałów i marzeń ma swoją cenę, którą nie każdy gotów jest płacić, nawet jeśli jest szczodrym posiadaczem karty kredytowej.

Czy to znaczy, że "Ameryka" nie istnieje? Inicjacyjny wymiar podrózowania do Ameryki nie oprowadza się do zniszczenia treści dziecięcych wyobrażeń; pozabawia jednak dziecięcą właśnie wiary w to, że świat ukształtowany według idealnych wyobrażeń będzie światem idealnym. Powien znany polski uczone napisał kiedyś cykl opowiadań, w których próbował wyobrazić sobie, jak wyglądałby świat, w którym w pełni zapanowałyby niektóre z tych wartości, do których darcie się tęskni. Książka ta nosiła tytuł *Smutek spełnionych baśni*. Zetknięcie z taką *spełnioną baśnią* - już nie w postaci imaginyjnej gry symulacyjnej, lecz kraju usiłującego na serio rządzić się sformułowanymi przez filozofów ideałami - wzbudza smutek, rozczarowanie, melancholicę: przekonuje bowiem, że życie nigdy nie dorówna marzeniu czy nawet tylko światłemu projektowi. Oto więc okazuje się, że niektóre wartości mogą ze sobą współistnieć tylko wypisane na sztandarach, a pełne urzeczywistnienie którejs z nich prowadzi do konsekwencji nie tylko nie przewidzianych, ale też trudnych do zaakceptowania przez jej wyznawców. Świat baśni i teorii nie musi liczyć się z rzeczywistością - dlatego nie można wymagać od tej ostatniej absolutnej uległości wobec wypekulowanych modeli. Oba porządki istnieją i istnieć powinny - są sobie nawzajem potrzebne, wręcz niezbędne - nie można ich jednak wyliczyć ze sobą ani wierzyć, że przepaść między nimi da się zasypać.

Tego wydaje się uczyć peregrynacja do Nowego Świata. Jest to w istocie świat nowy, może i najnowszy z istniejących, ale przecież nie wyzbyty oporu materii, niezdolny do wyzwolenia się spod zasady *rzeczywistości*, zakreślającej ramy urzeczywistnienia *zasady* *przyjemności*. To wspomnieć, że istnieją światy okrojone według ideałów. Trzeba się jakoś pogodzić z tym, że nigdy i nigdzie nie osiągną one blasku wspaniałości oglądanych przez szybę wystawową. Trochę szkoda...

Grzegorz Godlewski

liktu wartości, niemniej jednak trudno negocjować istnienie jakiegobś *głównego nurtu*, płynącego obok, a właściwie niezależnie od wartości *alternatywnych*. Wprawdzie ów *główny nurt* nie jest - z oczywistych powodów - równie głęboki, co nurt tradycji narodowościowych w Europie, ale *amerykańskość* nie jest pojęciem abstrakcyjnym. Świadczą o tym choćby ostre, nieraz graniczące z obsesją reakcje Europejczyków w zetknięciu z krajem zza Oceanu (patrz dla przykładu wydana niedawno książka Teresy Hołówny *Dobrycie ciotki Dce*). Lecz w poszukiwaniu istoty *amerykańskości* bardziej użytecznym niż odnieść się do Europy może okazać się porównanie dwóch na pozór podobnych kultur Nowego Świata: amerykańskiej i kanadyjskiej. Na pozór - dla Europejczyka - Kanadyjczyk z Ontario czy Alberty w niczym nie różni się od owego sąsiada z Wisconsin czy Indjany. Żyją w podobny, *amerykański sposób*, mówią z niemal identycznym akcentem. A jednak - Kanada jest inna, inne są przede wszystkim jej instytucje. Poczuć odrębności narodowej Kanadyjczyków jest dużo świeższej daty niż nacjonalizm cechujący wielu obywateli sąsiada z południa i nigdy nie przejawiała się z równą intensywnością czy agresywnością. Właśnie ta agresywność w zaznaczaniu swej odrębności - swoista megalomania Amerykanów powoduje częste niechęć wśród Ka-

nadyjczyków, którzy nie skorzystali z kilkakrotnie nadarżających się "okazji" do połączenia się z mocarstwem łączyącym po drugiej stronie 49 równoleżnika. Kanada jest krajem bez mitologii - powiada kanadyjski poeta Douglas Le Pen, przeciwstawiając na tym gruncie swój kraj Ameryce i różnicząc go trafia chyba w ocenie sprawy. Tym, co w braku wspólnej historii, a nieraz nawet języka, łączy miliony nieznających Stanów Zjednoczonych, jest mit - nowocześnie, bo pozabawiony dziś głębokiego kulturowego i religijnego kontekstu - *mit amerykański*.

Jest rzeczą znaczącą, iż mit o wyjątkowości Ameryki wyrażony został już przez pierwzych angielskich osadników w Nowym Świecie - purytanów. John Winthrop, pierwszy gubernator kolonii Zatoki Massachusetts wygłosił ongiś słynną oświadczenie, w której zawarte zostało przekonanie o historycznej albo nawet ponadczasowej misji osadników w Ameryce: *Jestem jak miasto na szczycie wzgórza - oczy całego świata obrócone są na nas...* Cotton Mather, jeden z najwybitniejszych przedstawicieli kościoła purytańskiego, obwieszczył w 1702 roku, iż to dzięki krainę, nazwaną *Nowym Światem*, zapowiedział nam Biblia; przez takie to pustkowią wędrowali ongiś Izraelici w poszukiwaniu Ziemi Obiecanej. Jej zapowiedzią była też pustynia, na której nasz Pan pokonał pic-

MARIUSZ ZWOLIŃSKI

FEDERALIŚCI I

Próżno szukać w konstytucji Stanów Zjednoczonych Ameryki, opracowanej w 1787 roku i obowiązującej do dziś, choćby wzmianki o możliwości istnienia partii politycznych. Jej autorzy pragnęli pełnego zjednoczenia społeczeństwa trzynastu stanów - byłych kolonii brytyjskich - we wspólnym dążeniu do narodowego dobrobytu i potęgi młodego państwa, którego podstawy prawne tworzyli. Partie oznaczałyby powstanie nowych podziałów, dlatego świadomie wystrzegano się ich i z góry je potępiano jako źródło wewnętrznych sporów i słabości. Już jednak gwałtowna debata nad ratyfikacją przez poszczególne stany projektu konstytucji ujawniła wyraźny podział aktywnych politycznie warstw społeczeństwa na zwolenników jedności i silnej władzy centralnej, czyli federalistów oraz ich przeciwników, antyfederalistów, optujących za utrzymaniem szerokiej uprawnień poszczególnych stanów oraz słabością centrum. I choć sporna jest kwestia, czy można czy nie można federalistów uznać za pierwszą partię polityczną (jak podkreślają niektórzy historycy amerykańscy: federalizm był raczej stanem umyślnym) - to nawiązywali oni wtedy między sobą pierwsze kontakty w

skali ogólnopaństwowej w dążeniu do zmiany istniejącego stanu prawnego, wymieniając korespondencją, uzgadniając argumenty w walce politycznej, wspólnie występując na łamach prasy oraz - jako przyjaciele konstytucji - w wyborach do Kongresu.

Ratyfikacja konstytucji, wybór w 1789 roku Jerzego Waszyngtona, przywódcy walk o niepodległość, na pierwszego prezydenta państwa i jego wysiłki na rzecz jedności dla dobra narodu (utworzenie gabinetu, w którym zasiadły najwybitniejsze ówczesne postaci, niezależnie od prezentowanych różnic politycznych), przesunęły tylko w czasie groźbę wykonania się partii. Te bowiem nie były, jak się obawiano, źródłem szkodliwych podziałów, lecz ich powstanie stało się odzwierciedleniem podziałów obiektywnie istniejących na wielu płaszczynach w amerykańskim społeczeństwie. Ich ujawnienie przyspieszył program posunięć finansowych, zaproponowany i wprowadzony w latach 1790-92 przez Aleksandra Hamiltona, sekretarza skarbu w gabinecie Waszyngtona. Obciążał on przejęcie przez państwo zobowiązań finansowych poszczególnych stanów, utworzenie banku narodowego z prawem emisji

kielnego Kusiociela - Szatana. To nam - ostatnia z wybranych - przypadło w udziało wypełnienie staro-go prorocstwa, iż pustynia zakwitnie niebieską różą. Przepowiedział to Święty Jan w swej Apokalipsie, gdy przebywał na wygnaniu na Patmos - w jego to przepowiedniach można znaleźć zapowiedź Ameryki. Kasz Nowy Świat to pulcherrimas inter mulieros - ostatnia i najpiękniejsza z wybranek Chrystusa.

Idąc dalej, że ów mesjanistyczny mit o dziejowej misji Ameryki przetrwał, choć w zdołwieczonoj formie, do czasów dzisiejszych. Jest on - wraz z innymi okładnikami amerykańskiej Świcekicy religii mitem o nieskrępowanej niczym wolności, powszechnym dostępie do bogactwa, o demokracji. Amerykańskie marzenie nadal głęboko zakorzenione jest w świadomości obywateli tego wcale już nie nowego Nowego Świata. Idąc dalej, bo nie da się ukryć, że wyobrażenia owe często mijają się z rzeczywistością, co zresztą bywa określane przez krytyków cywilizacji amerykańskiej. Lecz taka jest natura mitów - mity trwają. Trwają niezależnie, a może nawet na przekór istniejącej obiektywnie rzeczywistości. Mit o Ameryce trwa, bo jest uniwersalny: wszak jest on projekcją odwiecznego marzenia ludzkości. Nie jest on de facto wyłączną własnością Amerykanów. Pamiętajmy, że zrodził się on w kręgu cywilizacji europejskiej i

Północy i Południa ówczesnych Stanów - obywateli go kolejne pokolenia ludzi, którzy poprzez wyrwanie z kontekstu własnych kultur atawali się bardziej podatni na terapię wyłączenia mitycznego. Mit o Nowym Świecie egzystuje nadal - jak sądzę - w Europie, choć przybiera nowe formy. Dzisiejsza Europa bardzo różni się od tej, jaką znamy z historii (drażące warunki egzystencji, fanatyzm religijny, nieustanna groźba wojny), a więc te warunki, w których zrodził się kiedyś mit o Nowym Świecie, należą do przeszłości. Wolność, demokracja, powszechna zamożność, poczucie ponadnarodowej wspólnoty istnieją dziś w Zachodniej Europie niemal w równym stopniu co w Ameryce. Europejski mit o Nowym Świecie, Świecie nieskrępowanej w swym dążeniu do dobrobytu jednostki, Świecie bez autorytarnego państwa i bez granic, nie potrzebuje już istnienia Ameryki. Może on stać się mitem o Stanach Zjednoczonych Europy. Ameryka to Europa, w której zburzono wszystkie mury - stwierdził kiedyś Robert Payne. Otóż w tym sensie, w sensie burzenia murów, Europa staje się Ameryką. Lecz wizja wyburzenia wszystkich murów pozostać - po obu stronach oceanu - domną mitu.

Piotr Skurowski

cia władzy przez motłoch - liczebnie silniejsze warstwy niższe. Rządzić winna finansowa, intelektualna i kulturalna elita narodu.

Odmienne postawę reprezentowali republikanie, mimo że ich przywódcy, jak Jefferson i Madison, do takiej elity należeli. Obok wspomnianych już: niechęci do silnego rządu centralnego, a przywiązania do praw i przywilejów stanów, podkreślali naturalną równość wszystkich ludzi (z ozy o dziwo w ówczesnej mentalności Południa nie kolidowała instytucja niewolnictwa) i ich pełne prawo do demokratycznego wyłaniania rządu, kontrolowania i odwoływania go bądź oporu wobec jego poczynań. Nic mniej jednak wspomnieć należy, iż T. Jefferson nie był populistą: on również wierzył w rządy wybranych przez lud demokratów, a więc rządy elity, tyle że nie elity dziedziczącej przywileje, a arystokracji naturalnej będącej produktem edukacji i wrodzonych cech osobowości.

Podział na dwa ugrupowania znalazł także odzwierciedlenie w orientacji polityki międzynarodowej. Finansiści i kupcy z federalistycznej Północy powiązani byli interesami i podobieństwem koncesyjnych poglądów z warstwą rządzącą Wielkiej Brytanii. Republikanie dużym zainteresowaniem i sympatią darzyli rewolucyjną Francję.

Struktury organizacyjne obu fidei były bardzo luźne. Podział uwidaczniał się przede wszystkim na forum Kongresu, gdzie poszczególne politycy uważali siebie za członków danej partii i w kluczowych kwestiach głosowali zgodnie z wolą jej nieformalnych a faktycznych przywódców. Podobnie osoby decydujące się na wzięcie udziału w walce wyborczej deklarowały swą przynależność partyjną, z czym nie wiązały się żadne akty formalne (jak przysięgi, składki, legitymacje). Wśród obywateli nie uczestniczących w życiu politycznym podział opierał się tylko na wewnętrznej przekonaniu o słuszności ideologii i praktyki działania danej partii.

Republikanie okazali się z czasem prężniejsi w działaniu. Już od 1793 roku, na wzór klubów jakobińskich we Francji, organizowali Towarzystwa Demokratyczne, a następnie komitety partyjne w miastach, hrabstwach, stanach. Ich zadaniem było przede wszystkim zdobywanie poparcia wyborców dla republikańskich kandydatów na członków prezydenckich, członków Kongresu i legislatur stanowych. Elekcje były dla ówczesnych i są dla historyków praktycznie jedynym miernikiem siły i znaczenia obu partii.

Analogiczną działalność, wzorowaną na poczynaniach przeciwników - budowę piramidy komitetów partyjnych oraz tworzenie sieci Waszyngtońskich Towarzystw Dobroczynnych (mających czysto polityczny charakter) - federaliści podjęli na większą skalę dopiero po 1801 roku.

Oczywiście w praktyce życia publicznego końca XVIII i początku XIX wieku wymienione wyżej podziały, oparte na idealnych prze-

REPUBLIKANIE

banknotów, wsparcie ze strony rządu dla prywatnej przedsiębiorczości (rozwoj manufaktur, handlu). Posunięcia te, dotyczące pozornie tylko spraw ekonomicznych, poruszały również problem siły władz centralnych, dążąc do ich dalszego wzmocnienia - wychodzącego poza ścisłą interpretację postanowień konstytucji - kosztem uprawnień poszczególnych stanów. Wystąpienie przeciwko takiej tendencji dwu wybitnych polityków: Jamesa Madisona, bliskiego współpracownika Hamiltona z okresu debaty ratyfikacyjnej oraz Tomasa Jeffersona, sekretarza stanu w gabinecie Waszyngtona, spowodowało skupianie się wokół Hamiltona z jednej strony, a Jeffersona i Madisona z drugiej, dwu grup politycznych - wyłanianie dwu partii politycznych. Przyjęły się dla nich odpowiednio nazwy: federaliści i republikanie.

Ich odmienne zapatrywania wobec alternatywy dalszego wzmocnienia centrum czy też zatrzymania się w tym procesie na etapie wyznaczonym przez konstytucję współgrały ze stosunkiem poszczególnych grup społecznych do ekonomicznych treści programu Hamiltona, z odmiennym rozwojem społeczno-ekonomicznym emigrantów ze Starego Świata -

nowów Zjednoczonych oraz z podstawami wyłoni społeczeństwa politycznej Hamiltona i Jeffersona.

Program sekretarza skarbu satysfakcjonował posiadaczy wierzytelności publicznych, inwestorów, bankierów, kupców z największych miast a jednocześnie ośrodków przemysłu manufakturowego, operacji finansowych i handlu, skoncentrowanych w stanach północno-wschodnich i środkowych. Te grupy społeczne i regiony państwa były więc naturalną bazą federalistów Hamiltona. O wiele mniej atrakcyjny był jego program dla plantatorów i farmerów, przeciwdziałanych, że to uprawa ziemi jest naturalnym źródłem zamożności narodu, a więc oni są filarem państwa. Teraz obawiali się, że zostaną zmuszeni do płacenia większych podatków na pokrycie finansowych poczynań władz centralnych. Rolniczo-plantatorskie stany południowe stały się zapleczem republikanów Jeffersona.

Działania Hamiltona, zmierzające również do oddania władzy o jak najszerszych prerogatywach w ręce elity. Federaliści bowiem, nie będąc przeciwnikami republiki, z najwyższą niechęcią a nawet odrazą odnosili się do załad i instytucji demokratycznych, bojąc się przeję-

DONALD T. CRITCHLOW

Demokracja w epoce Jacksona a rewolucja rynkowa

Uczestniczyłem ostatnio w forum dyskusyjnym zorganizowanym przez Klub Myśli Politycznej "Dzickania", a dotyczącym związków między reformą polityczną i gospodarczą. Dyskusja koncentrowała się na następującym zagadnieniu: Czy te dwa rodzaje reform mogą funkcjonować w oderwaniu od siebie? Czy demokracja oraz szeroko pojęty pluralizm społeczny mają szansę zaistnieć bez reform ekonomicznych, wiodących ku gospodarce wolnorynkowej, i na odwrót: czy istnienie wolnego rynku możliwe jest w systemie niedemokratycznym?

Jest to problem niezwykle złożony. Nie sposób bowiem zaprzeczyć, że w Korci Południowej, pozostającej do niedawna pod rządami wojskowych rozwinęła się gospodarka oparta o mechanizmy rynkowe. Również w Hiszpanii i szeregu innych państw dyktatury nie przeszkodziły powstaniu wolnego rynku. Mimo to przysłuchując się dyskusji, odniosłem jako Amerykanin dziwne wrażenie. Sądzę bowiem, że dla większości moich rodaków demokracja i kapitalizm, wolność polityczna oraz gospodarcza są ze sobą organicznie powiązane. W pojęciu Amerykanów wartości te uzupełniają się wzajemnie, więcej nawet - są nierozłączne.

Taki sposób widzenia rzeczy jest przejawem typowo amerykańskiej mentalności. Chociaż więc gotów jestem bronić tezę, że wolny rynek funkcjonuje najlepiej w systemie demokratycznym (albowiem systemy autorytarne i jednopartyjne czerpią swą siłę z korupcji, co zabija wydajność), zdając sobie sprawę z tego, że nie jestem w tej kwestii całkowicie bezstronny. Chciałbym jednocześnie dodać, że nie wierzę w zupełny leseferyzm ekonomiczny w rodzaju tego, który propagował A. Smith, ale to inny temat. Obecnie interesuje nas przede wszystkim kulturowy aspekt owych skłonności do utożsamiania wspomnianych już pojęć kapitalizmu i demokracji. Amerykanie są ogromnie nieufni wobec rządów centralistycznych i prób narzucania sztywnych rozwiązań w obszarze problemów społecznych. Wyznają zasadę współzawodnictwa i żywią szacunek dla inicjatywy jednostki. I choć pod koniec XIX wieku, w dobie rozkwitu kapitalizmu przemysłowego i finansowego Amerykanie zwrócili się do władz o uregulowanie działalności korporacji, obronę rynku konsumenta i ochronę środowiska naturalnego, w odpowiedzi na kryzys lat trzydziestych rząd musiał stworzyć program opieki społecznej obejmujący ludzi starych, biednych, niepełnosprawnych i bezrobotnych, otos indywidualizmu przetrwał. Stąd uzasad-

niona podejrzliwość wobec idei socjalizmu i komunizmu. Dla przeciętnego Amerykanina demokracja bez gospodarki wolnej od ograniczeń to sprzeczność sama w sobie.

Sposób w jaki ów związek dwóch pojęć wyrył swe piętno na świadomości amerykańskiej jest dla mnie, jako historyka, szczególnie interesujący. W Ameryce łączono swobodę gospodarczą z wolnością polityczną zanim jeszcze wojna o niepodległość z 1776 roku uniczyliła te kolonie od Korony Brytyjskiej. Ale faktyczne powiązanie demokracji z systemem rynkowym dokonało się w epoce Jacksona, tj. w latach 1828-1844. Wtedy to właśnie powstał ujednoczony rynek na skalę państwową, łączący nadmorskie metropolie z kręgowymi osadami Zachodu. Proces przemian gospodarczych pociągnął za sobą reformy polityczne: odrodziły się partie polityczne, które powoływały się na cnoty zwykłego, szarego obywatela. Pojawił się nowy styl rządzenia, polityka stała się pluralistyczna w treści, stosując zasady populizmu i demokracji. Na zjazdach przedwyborczych, poprzedzających wybory właściwe, świadomi swych praw obywatele zaczęli wybierać własnych przywódców politycznych.

W okresie do 1812 roku kiedy to Amerykanie wciśniani zostali w politykę europejską, w Ameryce rozwinęła się dwójakiemu rodzajowi gospodarka i w konsekwencji - dwie odrębne społeczności. Na wybrzeżu atlantyckim powstały wielkie kosmopolityczne aglomeracje czerpiące zyski z handlu morskiego. Mieszkańców tych miast cechował wyraźny podział na warstwę społeczną, z których najwyższą stanowiłi kupcy i armatorzy - przedsiębiorcy i otwarci na świat. Niżej w tej hierarchii stali robotnicy wykwalifikowani oraz rzemieślnicy, również wykazujący pewien stopień przedsiębiorczości. Warstwa najniższa składała się z robotników portowych późniejszego rodzaju, przestępców oraz całej masy ludzkiej tak chętnie gnieżdżonej się w dokach osiemnastowiecznych miast nadmorskich.

Cywilizowane wybrzeże osobliwie kontrastowało z terenami położonymi w głębi kraju. W miarę oddalania się od miast zanikał kontakt z ruchem i zgiełkiem wielkomiastowych rynków. Rejon ten, niejednokrotnie oddalony od wybrzeża ledwie o pięćdziesiąt kilometrów były przeczajającej misze rolniczej, przy czym uzyskiwane plony starczyły na ogół na zapokojenie jedynie potrzeb własnych, produkcja nadwyżek rolnych należała do rzadkości. Większość pracy wykonywały kobiety, mężczyznom brakło ducha

przedsiębiorczości. Złej jakości drogi i rwące rzeki oddzielały raczej aniżeli łączyły te tereny z najbliższym rynkiem zbytu - marny transport oznaczał po prostu wysokie koszty przewozu. I tak na przykład bardziej opłacało się sprowadzić korbce pszenicy z Anglii do Nowego Jorku drogą morską aniżeli z odległości stu kilometrów - lądem. Koszt wyoski zboża z Buffalo w stanie Nowy Jork do miasta Nowy Jork były trzykrotnie wyższy od ceny, jaką by za nie w miocie tym uzyskano.

Przyczyną dualizmu społeczno-gospodarczego była konkurencyjność wzorców, którymi rządziła się społeczność wschodniego wybrzeża, a których brakło na Zachodzie. William Byrd, zamożny plantator z Wirginii tak opisywał Północną Karolinę, wówczas słabo zamieszkaną interio: *Z pewnością nie ma drugiego takiego miejsca na świecie gdzie łatwiej byłoby mieszkać - zapracować na życie, aniżeli w Karolinie. Ona to właśnie najbardziej przypomina opiu owiej krainy słodkiego lenistwa, a to dla wielkiej łagodności klimatu, łatwości w gromadzeniu zapasów i osobliwej ospałości jej mieszkańców. Mężczyźni wzorem Idniam cały ciężar pracy zrzucają na barki biednych niewiast [...] Przymuszają swe żony, by wstawały o świcie, sami tymczasem wylegują się, czekając aż słońce przeczry trzecią część swej drogi i rozproszy niedrówną wilgoć. Następnie, przeciągnąwszy się i ziewnąwszy odpowiednią ilość razy, zapalają fajki i otoczeni chmurą dymu udają się za drzwi. Tu jednak wystarczy najłżejszy podmuch wiatru, by drząc z zimna czym prędzej do izby powrócili. Gdy pogoda sprzyja, lubią wystawiać przy opłotkach, opierając się o nie ramionami, a chwyciwszy za motykę wnet ją odstawiają na bok w oczekiwaniu na lepszą sposobność.*

Niewątpliwie mamy tu do czynienia z idyllą; przynajmniej jeśli chodzi o mężczyzn. Ta społeczność rolników rzeczywiście cechowała swoista demokracja, wyrażająca się prostotą i zdecydowaną wrogością wobec jakichkolwiek podziałów klasowych. W świecie tym mężczyźni z upodobaniem oddawali się zapacom w walce na pięści, zaś aktywność społeczną wyznaczały nie mechanizmy rynku, kosmopolityzm czy choć nieustanne parcie naprzód, lecz także właśnie formy męskiego współzawodnictwa (gwoźli sprawiedliwości należyć zauważyć, że i tu również, jak w całej Ameryce, spekulacja ziemią była istotną siłą sprawczą historii). Ludność pogranicza wyznawała religię na sposób tradycyjny, mimo iż duchowni byli nieliczni i mocno rozpro-

szeni. Wolter, o ile go w ogóle znano, nie stanowił na Zachodzie ulubionej lektury.

Ten rodzaj struktury społecznej zakamował się pod wpływem rewolucji w transporcie. Zaczęto budować kanały i ulepszać system dróg. Dziś kanałami rolnicy mogli teraz produkować na sprzedaż i dostarczać swoje plony na rynek. To oznaczało zysk, a zatem zwiększenie popytu na ziemię, co z kolei prowadziło do spekulacji nieruchomościami na wielką skalę. Tereny przygraniczne doświadczyły wielkiego ożywienia gospodarczego. Rozwój kolejnictwa w latach 40-tych i 50-tych XIX stulecia oraz połączenie żeglugowców rzek Ohio i Missisipi rozszerzyło rynek na stany Indiana, Ohio i Illinois. Miasta takie jak Cleveland, Chicago i Milwaukee przekształciły się w ośrodki przemysłu, dając schronienie całemu pokoleniu imigrantów europejskich (także Polaków), którzy przybywali do Ameryki pod koniec XIX wieku.

W miarę jak zachodnie połacie kraju włączano do ogólnonarodowego systemu rynkowego ich mieszkańcy zaczęli uczestniczyć w życiu politycznym narodu, naśladując decyzje opowiadające się za ideą demokracji. Wyłonili się nowe stany, a wraz z nimi nowe instytucje polityczne i nowe style uprawiania polityki. Powstała współczesna partia amerykańska, prawo do głosowania objęło wszystkich dorosłych mężczyzn, stworzono bezpłatny system szkolnictwa i upowszechniono tanię gazetę. Polityka, będąca nigdy dotąd domeną wybrańców, przekształciła się obecnie w otwartą dla wszystkich sferę życia publicznego. Wypracowano nowoczesne metody organizowania kampanii wyborczych. Przy tym wszystkim ukwapliwie sławiono cnoty zwykłego obywatela.

Wybór Andrew Jacksona na prezydenta w 1828 roku nie był więc początkiem, lecz kulminacją rozwoju systemu demokratycznego. W latach 1810-1820 w skład federacji weszły dalsze sześć stanów, których konstytucje gwarantowały prawa wyborcze bez żadnych ograniczeń majątkowych. Jednocześnie zaś obywatele starszych, bardziej zintegrowanych stanów poszli za przykładem mieszkańców Zachodu, liberalizując stopniowo własne prawa. Wynikiem tego było, jak już wspomniano wyżej, powszechne prawo wyborcze dla mężczyzn.

Zwyczajny prawo głosu ludzie zaczęli coraz bardziej interesować się polityką przez aktywne uczestniczenie w wyborach i działalność organizacji partyjnych. Dzień wyborów stał się czymś w rodzaju uroczystego festynu narodowego. Polityka, zdominowana dotąd przez niewielką grupę kongresmenów obradujących na tajnych zebraniach i forsujących nie rzadko własnych kandydatów do fotela prezydenckiego, stała się teraz dziedziną otwartą. Demokratyczny styl rządzenia krajem powiększył znacznie liczbę wyborców, a ci nie chcieli już powierzać swojej przyszłości garstce tradycyjniejszym nastawionych przywódców partyjnych. Zaczęto organizować zjazdy partii politycznych, na których wyłaniano poszczególnych

kandydatów. Jednocześnie demagano się, by władza przekała się części swoich uprawnień na rzecz ludności. I tak o składzie kolegium elektorów decydować miały wybory powszechne, a nie - jak dotychczas - legislatura stanowa. Proccs ten objął również inne wysokie stanowiska państwowe jak na przykład urząd gubernatora. Praktyka lat 40-tych i 50-tych XIX wieku wykazała, że nawet udział stanowy bywał częściej wybierany niż mianowany.

Krótko mówiąc rewolucja wywołała w narodzie amerykańskim ducha demokracji i populizmu. Wzrost możliwości gospodarczych zbliżył się w czasie z rozwojem demokratycznego modelu rządzenia. Dramatyczny przebieg walki o władzę w wyborach prezydenckich z 1824 roku dowiódł, jak bardzo zmienił się styl uprawiania polityki. Wtedy to właśnie Andrew Jackson, reprezentujący nowoczesny typ polityka, zyskał ogólnonarodową sławę. Ten plantator z Tennessee, którego rodzina zginęła w czasie wojny o niepodległość i który doszedł do wszystkiego własnym przemysłem, odgrywał rolę jako człowiek raczej nieznan. Jedynym jego tytułem do chwały była zwycięska walka, którą stoczył z Angliakami o Nowy Orlean w 1812 roku. Mimo to Jackson nie zawahał się zaatakować waszyngtońskiego establishmentu i nazwał swego głównego rywala - Johna Quincy Adamsa - patryjuszem, który nie rozumie protych ludzi. Oskarżał go dalej o rozrzutność, marnotrawstwo oraz niedołęstwo polityczne, o to, że broni przebrzydłych interesów rozlicznych koterii. Jackson przegrał w 1824 roku, głównie z powodu rozproszenia głosów na wielu lokalnych kandydatów, ale nadrobił straty cztery lata później i jak nikt dotąd zdominował amerykańską scenę polityczną. Hacia dalszej demokratyzacji aparatu władzy realizował przez powoływanie na wysokie stanowiska rządowe oddanych sobie polityków, tworząc tym samym pierwotny system podziału sił. Krytykowano go za to twierdząc, że nagradzał on w ten sposób swoich popieczników, ale Jackson widział w tym ważny element podtrzymania demokracji i sposób na zapewnienie fluktuacji kadr w rządzie. Nowa formuła polityki, która pojawiła się wraz z wzięciem władzy Jacksona, nie wszystkim przypadła do smaku. Władza miała teraz reprezentować interesy ludności i być jej częścią, miała wyrażać przekonania obywateli, a nie własne, choćby najbardziej światłe. Doskonałą ilustracją tej populistycznej manierę jest przemówienie pownego mieszkańca Illinois, ubiegającego się o stanowisko gubernatora: *Współobywatle! Oto stoję przed wami gotów - jeśli taka będzie waga wola - objąć urząd gubernatora tego stanu. Nic będę udawał człowieka nadmiernie uzdolnionego, lub też wienić się równy Cezarowi czy Bonapartemu, ani nawet wierzyć się wielkością z moim rywalem, gubernatorem Edwardem. Nicniej jednak myślę, że podobał mi się obowiązkowi, albowiem nie sądzę, żeby był do tego potrzebny ktoś nadzwyczaj wadry. Bo tak naprawdę, obywatele, to ja jestem przkopany,*

że wcale nietrudno wami rządzić.

Jackson nie wierzył w centralizację władzy, odnosił się wręcz do monopolu państwowych, ośmielił się nawet zaatakować Bank Stanów Zjednoczonych, gdzie rząd federalny przechowywał pieniądze. Bank był dla niego symbolem monopolizmu, molochem, którego należało zwalczać. Owezem, rząd winien odgrywać pewną rolę w dziedzinach takich jak obrona narodowa, polityka zagraniczna czy poszanowanie prawa, ale o gospodarce powinny decydować mechanizmy rynkowe. Sądził, że jest obowiązkiem władzy dbać o zachowanie demokracji oraz zapewnienie wszystkim (choć przez wszystkich rozumiano wtedy moższym i to wyłącznie białym) równych szans w oferze gospodarczej.

Ekonomiczna i polityczna przemiana Ameryki dokonująca się w pierwszych dziesięcioleciach XIX wieku nie była, rzecz jasna, wolna od błędów. Wraz z rozwojem rynku i ewolucją systemu politycznego umocniło się niewolnictwo. Plemiona indiańskie zepchnięto na tereny położone za zachód od rzeki Missisipi. Dziśki dalszej ekspansji w kierunku zachodnich Stanów Zjednoczone przejęły terytoria należące uprzednio do Anglii i Meksyku. W niecałe czterdzieści lat później Amerykę nawiedziła krwawa wojna domowa, w której zginęło więcej Amerykanów aniżeli podczas wojny światowej.

Nicniej jednak wytworzył się wtedy w naszym kraju nowy typ świadomości obywatelskiej, dla której demokracja oraz gospodarka rynkowa tworzą wspólnie pewną wartość nadrzędną. Amerykanie demagali się ustanowienia podtrzymania wolności politycznej i swobodnej inicjatywy gospodarczej bez względu na koszty mieliby ponieść. Chyba najlupiej określił to jeden ze zwolenników Jacksona, mówiąc: *Duch prawdziwego republikanina wymaga by wszyscy ludzie mieli równo szanse - aby dla każdego droga do nierówności stanęła otworem.*

Przypomniałem sobie te słowa przyokłuchując się dyskusji w klubie "Dziśkiana": prawo było nierównym... Czy można dziś Polaco zaproponować więcej aniżeli to własne prawo do nierówności?

Donald Critchlow

Prof. Donald T. Critchlow ur. w 1948 r. w Pasadena, Kalifornia; doktorat z historii na Uniwersytecie w Berkeley w 1978. Obecnie wykładowca historii USA na Uniwersytecie katolickim w Notre Dame (w stanie Indiana). W roku akademickim 1988-89 wykładowca gościnnie na Uniwersytecie Warszawskim. Autor wielu artykułów z dziedziny historii gospodarczej oraz polityki społecznej, a także kilku książek m.in. o Instytucie Brookingsa, wydawca (wraz z Elly Howleyem) Poverty and Public Policy in Modern America; w przygotowaniu: The Studebaker Corporation, 1852-1963; Image and Illusion in an American Auto Company (książka poświęcona cyce świata biznesu). Wydawca nowo powstałego "The Journal of Public Policy".

20 stycznia 1989 r. zakończyła się oficjalna kolejna era w historii Ameryki: era prezydenta Reagana. Opinie na jego temat z pewnością są i będą podzielone, nicniej trudno nie zgodzić się ze zdaniem, iż osiem lat prezydentury Ronald Reagana oddziaływało na życie państwa na życie współczesnej Ameryki.

Czego Reagan dokonał? Aby odpowiedzieć na to pytanie, należy cofnąć się do roku 1980, kiedy to w listopadowych wyborach pokonał on prezydenta Cartera. A więc w jakiej sytuacji znalazła się Ameryka w roku 1980 albo raczej - co doprowadziło do porażki wyborczej Cartera? Złożyło się na nią kilka przyczyn, z których najważniejsze były dwie: wysoka stopa inflacji oraz kryzys związany z zakładnikami amerykańskimi w Iranie. Trudno określić, w jakim stopniu Carter ponosił rzeczywistą odpowiedzialność za niedawny kryzys naftowy, inflację, radziecką agresję na Afganistan czy też nieporadną próbę odbicia zakładników w Iranie, nicniej jednak opinia publiczna, łącząca te niepowodzenia z jego nazwiskiem, odmówiła mu swego mandatu na kolejne cztery lata. Było również faktem, iż w roku 1980 morale narodu amerykańskiego

now, iż są nadal najpotężniejszą narodem na świecie, natłumac ich optymizmem i nadzieją na przyszłość.

Ronald Reagan, zwycięzca wyborów w 1980 roku, w dużej mierze wywiązał się z tego trudnego zadania. Świadczyły o tym w każdym razie odczucia większości Amerykanów; w ostatnich miesiącach jego urzędowania liczne ankiety wykazały ogólną aprobatę dla jego polityki w okresie dwóch kadencji, a ten komentarz prasowy na temat jego osoby był wyjątkowo pochwalny. Reagan żegnany był z dużym sentymentem, ciepłej nawet niż wityany w roku 1980, co jest faktem znamienym, albowiem na ogół bywa odwrotnie ze względu na to, iż oczekiwania wyborców zazwyczaj przerastają możliwości polityków.

Cechą zachodnich demokracji jest między innymi to, że polityka opiera się tam przede wszystkim na gospodarce. Sukces jakiejś ekipy często sprowadza się więc do wyników ekonomicznych, przy czym liczą się najbardziej efekty namacalne. Otóż z tego punktu widzenia Ronald Reagan może pochwalić się nie lada osiągnięciami: przede wszystkim z powodzeniem uporał się z inflacją, która w latach siedemdziesiątych

nieuchronnie doprowadzić do ogromnego deficytu. Być może Reagan skutecznie nazywany był nieraz cudotwórcą - oto bowiem za jego prezydentury wydarzyło się coś, co wielu konserwatywnych ekonomistów (Reagan o ironio!; uważany był za arcykonserwatywa) uważało za niemożliwe; utrzymanie przez Stany Zjednoczone równowagi gospodarczej w warunkach wielkiego deficytu budżetowego. Niktórzy ekonomiści twierdzą, że sytuacja ta przed czy później musi się zmobilizować. Można ona doprowadzić do katastrofy finansowej porównywalnej z kalamitacją się cen giełdowych w listopadzie 1929 roku. I kiedy półtora roku temu Wall Street odnotowała raptowny spadek większości akcji, na giełdzie pojawiły się objawy paniki. Wydawało się, że oto spełniają się kassandrańskie przepowiednie krytyków tak zwanej *Reaganomii*, czyli reaganowskich koncepcji gospodarczych. Kryzys został jednak zażegnany, a prezydent wyszedł z niego obronną ręką. Ku przerażeniu niektórych obserwatorów Reagan sprawiał nieraz wrażenie, iż lekceważył sobie ów problem ekonomiczny. Zapytany przez dziennikarza, jak zamierza zrównoważyć budżet, prezydent odparł z właściwym sobie poczuciem humoru: *Deficyt jest już na tyle duży, że z pewnością da sobie sam radę*. Ta bezoska Reagan na zapewne częściowo wynika stąd, że deficyt nie miał według niego poważniejszych reperkucji politycznych. Dla przeciętnego wyborcy, który na pytanie postawione mu w 1984 r. przez Reagana: *Czy powodzi ci się lepiej niż cztery lata temu?* odpowiadał zazwyczaj twierdząco, olbrzymie zadłużenie państwa było pojęciem dość abstrakcyjnym i niezbyt przerażającym.

Ma prestiż Reagana - zarówno w kraju jak i na świecie - niepośledni wpływ miała jego polityka zagraniczna. Jest rzeczą niewątpliwą, że za jego kadencji dokonały się w polityce światowej ogromne zmiany, zmiany nadzwyczaj pozytywne. W jakiej mierze Reagan był ich sprawcą, jest na pewno kwestią sporną. Ronald Reagan jako prezydent miał z pewnością dużo szczęścia, choćby w porównaniu ze swym poprzednikiem - Jimmy Carterem, obarczonym problemem kryzysu naftowego czy zakładników w Iranie. Reaganowi sprzyjał nawet Chomceni, zwracając Ameryce zakładników w pierwszym dniu urzędowania nowego prezydenta. Największym jednak sprzymierzeńcem prezydenta USA okazał się zupełnie nieoczekiwane główny przeciwnik Ameryki - Związek Radziecki. Kryzys polityczny i gospodarczy sowieckiego mococha nastąpił szybciej niż oczekiwali tego najwięksi optymiści, umożliwiając Ameryce regenerację prestiżu oraz zahamowanie ekspansji komunizmu. Obserwując ewolucję sowieckiego imperium zła, Reagan utrzymywał "twardy" kurs wobec Moskwy - wbrew protestom ze strony "postępców" części społeczeństwa zachodnioeuropejskiego. Dozbierając Amerykę prezydent zmuszał Moskwę - pragnącą utrzymać statut supermocarstwa, do rujnującego wysiłku gospodarczego na rzecz armii. Jest oczywiście kwestią otwartą, do jakiego stopnia

AMERYKA REAGANA

PIOTR SKUROWSKI

osiągnęło bardzo niski poziom, a w jakimś sensie nawet punkt krytyczny. Tak niedawno jeszcze prezydent Kennedy rozstrząsał optymistyczną wizję wieku amerykańskiego w historii ludzkości, a prezydent Johnson obiecywał zbudować wielką cywilizację (*Great Society*). Tymczasem lata siedemdziesiąte przyniosły cały szereg niepowodzeń: przegrana w Wietnamie, aferę Watergate, komunistyczne bądź antyamerykańskie przewroty w wielu krajach, kryzys naftowy, osłabienie konkurencyjności amerykańskich towarów na świecie. Nadto rosnące koszty utrzymania i powiększające się bezrobocie spowodowały, iż miliony Amerykanów poczuli się zagrożeni w swojej codziennej egzystencji. Panowało przekonanie, iż czterolatnie rządy Demokratów były rządami mało skutecznymi, niezdolnymi uporać się z narastającym kryzysem. Jimmy Carter, jak wiadomo, wybrany został w wyniku ucieczki wyborców z obozu Republikanów, okompromitowanych aferą Watergate. Z usług Cartera było przywrócić sprawowanemu przez siebie urzędowi zaufania narodu, lecz jego pobieżność oraz wzniosłe pobudki nie okazały się wystarczającymi kwalifikacjami na przywódcę państwa; Ameryce potrzebny był mąż opatrności i odwagi, ktoś, kto potrafiłby na nowo przekonać Ameryka-

wydawała się przeciwnemu obywatelowi źródłem największego zagrożenia i niepokoju. Wzrost wartości dolara na początku lat osiemdziesiątych - efekt monetarystycznej polityki prezydenta - i wraz z nim wysoka stopa procentowa doprowadziły wprawdzie do krótkotrwałej recesji w 1982 roku, lecz od tej pory trwa w Stanach Zjednoczonych okres nieprzerwanej koniunktury, powodującej m.in. spadek bezrobocia. Obniżony w ostatnich latach kurs dolara doprowadził do wzrostu konkurencyjności i eksportu towarów amerykańskich, równocześnie amerykański rynek nie przestaje być najbogatszym rynkiem na świecie, a o jego atrakcyjności świadczą wielomiliardowe inwestycje, dokonywane przez zachodnie konserwacje w Stanach Zjednoczonych. Ale jest i odwrotna strona medalu - kulisy ekonomicznego cudu lat 80-ych. Mowa tu o ogromnym deficycie budżetowym, który niemal wyknął się spod kontroli państwa. Złożyło się na to wiele przyczyn, w tym polityka podatkowa prezydenta. Reagan dotrzymał obietnicy zmniejszenia podatków, upatrując w tym kroku silnego bodźca dla wzrostu gospodarczego. Znaczące wpływy i większe wydatki (mimo swego konserwatywnego Republikanizm nie zrezygnował bynajmniej z utrzymania państwa opiekuńczego) musiały

Wątpić, by George Bush wygrał listopadowe wybory. Bush nie jest typem zwycięzcy. Nawet nie mając przeciwników jest on w stanie przegrać - stwierdził na kilka miesięcy przed wyborami Henry Kissinger. Miał on jeden nie doceniał polityka, który, jak miało się wkrótce okazać, pokonał swych rywali w sposób nie pozostawiający żadnych wątpliwości. Jaka była droga do Białego Domu człowieka, którego Kissinger tak wczesnie spisał na straty?

George Herbert Walker Bush urodził się 12 czerwca 1924 roku w Milton w stanie Massachusetts, w rodzinie znanego bankiera oraz senatora Stanów Zjednoczonych - Prescottta Sheldona Busha. Jak przystało na potomka rodziny należącej do establishmentu, pobierał nauki w elitarnym szkole Phillips Academy w Andover, a następnie studiował ekonomię na Uniwersytecie w Yale. Godny odnotowania jest jego udział w II wojnie światowej w roli pilota bombowca. Bush odbył wiele lotów bojowych nad Pacyfikiem, podczas których odznaczył się odwagą. Po wojnie, po ukończeniu studiów, zajął się robieniem interesów w przemyśle naftowym w Teksasie. W późniejszych latach wspominał z dumą tę część swojej kariery, podkreślając, że mimo swojego elitarnego pochodzenia i wychowania był w gruncie rzeczy self-made-manem. Jest faktem, że interesy układały mu się bardzo pomyślnie. Młody businessman wkrótce stał się milionerem.

W 1964 roku Bush postanawia iść w ślady ojca i rozpoczyna długą i bogatą karierę polityczną. Zostaje jednym z działaczy Partii Republikańskiej w Teksasie, lecz w rok później przegrywa wybory o miejsce w senacie. Niezrażony niepowodzeniem, zdobywa mandat w legislaturze stanowej, gdzie służy przez dwie kadencje. W 1970 roku podejmuje drugą, nieudaną próbę zdobycia mandatu senatora. Lecz oto dostrzega Busha prezydent Nixon, który w tymże roku mianuje go ambasadorem USA w Organizacji Narodów Zjednoczonych. W ciągu następnych kilku lat - aż do przegranej Republikanów w 1976 roku - Bush zdobywa cenne doświadczenie piastując szereg kluczowych stanowisk: w 1972 roku zostaje przewodniczącym Krajowego Komitetu Partii Republikańskiej, w 1974 roku Ford desygnuje go na szefa misji łącznikowej USA w Chinach, w 1975 roku - na szefa Centralnej Agencji Wywiadowczej. W 1980 roku Bush staje do walki wyborczej o fotel prezydencki, lecz i tym razem wybory nie przynoszą mu szczęścia. Po porażce w prawyborach zostaje jednak zaproszony przez kandydata Republikanów, Ronaldą Reaganą, do ubiegania się o stanowisko wiceprezydenta w jego administracji. Jak wiadomo George Bush obejmuje to stanowisko po sukcesie Republikanów w 1980 roku i piastuje je przez dwie kadencje - aż do dnia 20 stycznia 1989 roku, kiedy to udaje mu się zrealizować cel, do którego uporczywie dążył przez całe życie.

Tyle suchych faktów. Nic mówią one o tym, kim naprawdę jest George Bush. I kiedy stało się jasne,

że zgłosi on swą kandydaturę na prezydenta, miliony Amerykanów zdało sobie nagłe sprawę, iż jest właściwie - mimo długiej i pełnej zaszczytów kariery - postacią o niejasnym profilu politycznym. Okazało się, że wiceprezydent Bush był osobą, która długo (może nawet za długo) pozostawała w cieniu innych. Ktoś złośliwie nazwał go *człowiekiem w czapce niewidoczej*, a tygodnik "Newsweek" w maju 1988 roku z tytułował jeden ze swych numerów w sposób bezceremonialny: *Bush: kandydat "bez wyrazu"?*

Otóż George Bush w trakcie swojej kariery dał się poznać jako osoba niezbyt agresywna, a raczej nastawiona na pracę w grupie. Podobno takie właśnie otrzymał wychowanie w domu, gdzie uczono go, aby - jak przystało na dzienielca - umiał zachować umiar, skromność oraz bezinteresowne podejście do polityki traktowanej nie jako źródło dochodów, lecz pole dla działalności najlepszych obywateli, świadomych swej odpowiedzialności wobec społeczeństwa. Bush, potrafiący docenić innych, postępujący fair i lojalny wobec swych przełożonych, nie narzekał nigdy na brak przyjaciół. Umie zresztą kultywować przyjaźnie, prowadząc bogatą korespondencję.

tansowanie się od popularnego szefa nie przysporzy mu wielu korzyści. Z drugiej strony należało jednak zaznaczyć swą odrębność, przeciąć popowiną łączącą go z prezydentem. Bush w opinii komentatorów przeprowadził ten manewr w sposób nieprzekonywujący. Mimo drobnych akcentów niezależności wciąż właściwie był *Reaganem*, lecz - niestety - bez jego magii i charyzmatu. Zaskodziła mu również niewątpliwie afcra Irangate. W odpowiedzi na zarzuty o współudział w nielegalnych operacjach Bush twierdził, jakoby nie został w nie wtajemniczony, co dla dziennikarzy nie brzmiało zbyt przekonująco. Wiceprezydent nie kwapił się też z komentarzami na temat skandalu, który mógł tak łatwo pogrzebać jego karierę polityczną. - *Gdzie jest George?* - pytali złośliwie dziennikarze akredytowani przy Białym Domu, zarzucając mu chowanie głowy w piasek.

Ku pewnemu zaskoczeniu obserwatorów George Bush dość łatwo rozprawił się z konkurencją w szeregach własnej partii i bez żadnego właściwie kłopotu zapewnił sobie nominację Republikanów na długo przed rozpoczęciem konwencji. Oczekiwano jednak, że końcowa walka o Białą Dom z kandydatem Demok-

AMERYKA BUSHA ?

P.S.

Alc wróćmy do rzeczy. Otóż w trakcie kampanii wyborczej wyłonił się następujący obraz Busha: jest to osoba dobrze wykształcona, świetnie przygotowana do sprawowania urzędu (żaden chyba z XX-wiecznych kandydatów na prezydenta w Ameryce nie mógł się wykazać większym doświadczeniem), bez zarzutu pod względem moralnym (okazało się to dużym atutem). A jednak - postawiono mu zarzut, iż nie posiada *cech przywódczych*. Lojalność i posłuszeństwo - podkreślano - są cechami pozytywnymi, lecz kandydat na prezydenta musi być osobą bardziej widoczną, umiejscawiającą dowiedzieć, iż posiada w różnych sprawach własne, niezależne zdanie. Tymczasem przez osiem lat sprawowania wiceprezydentury Bush nie przyznał się bodaj ani razu publicznie do różnic między sobą a swym bossem w jakiegokolwiek sprawie, mimo iż takie różnice zapewne istniały (w czasie kampanii 1980 roku, konkurując z Reaganem, nazwał on jego koncepcje gospodarcze *ekonomią w stylu voodoo*).

Trzeba przyznać, że jako wiceprezydent z ambicjami na odziedziczenie Białego Domu, Bush znajdował się w trudnej sytuacji. Niezależnie od wyznawanej przez siebie zasady lojalności wobec zwierzchnika zdawał on sobie niewątpliwie sprawę z tego, że dyc-

ratów - Dukakiem nie będzie dla niego *spacerkim*. Wprawdzie ankiety na popularność dawały mu na początku wyraźne prowadzenie nad stosunkowo mało znanym Dukakiem, jednak z czasem zaczęła ona niebezpiecznie waleć. W locie, na kilka miesięcy przed wyborami, Dukakis zyskał nawet przewagę i wtedy George Bush zrozumiał, że przegrywa walkę o władzę. Wówczas to nastąpiła niebywała transformacja - Bush ruszył agresywnie do ataku! Na spotkaniach z wyborcami, w starannie wyreżyserowanych reklamach w telewizji dał się poznać jako osoba energiczna, zdecydowana, nacechowana optymizmem i jednocześnie dużą dozą realizmu. Trudno jednak określić, do jakiego stopnia wzrost popularności Busha, jaki nastąpił późnym latem i jesienią, wiązał się z tym nowym obrazem niezbyt przekonującego dotychczas polityka, a do jakiego - był rezultatem innej, może nawet ważniejszej części jego strategii wyborczej. Otóż w odczuciu wszystkich bodajże komentatorów zeszłoroczna kampania różniła się od poprzednich batalii o Białą Dom swym *negatywnym* charakterem - obaj kandydaci (a szczególnie Bush) wkładali więcej wysiłku w to, aby zdyskredytować przeciwnika poprzez obniżenie jego niekompetencji ed. na s. 11

amerykańska presja gospodarcza (połączona z zahamowaniem rozwoju technologii) zarówno na Moskwę jak i na jej satelitów (szczególnie PRL) była silną oprawą w procesie stopniowego rozkładu systemu. Zainteresowała jednak, z korzyścią dla Reagana, niezapróżalna zbieranina faktów: z jednej strony nastąpił wzrost potęgi amerykańskiej (i ogólnie Zachodu, którego Ameryka jest liderem), z drugiej zaś - wyraźnie osłabienie systemu socjalistycznego (chaos polityczny i gospodarczy w Związku Radzieckim i w jego satelitach, zahamowanie sowieckiej ekspansji kolonialnej, wroście klęska militarna Moskwy w konfrontacji z popieranymi przez USA mudżahedinami w Afganistanie).

To wymuszone czynnikami ekonomicznymi zaniechanie systemu socjalistycznego i osłabienie jego pozycji w świecie uczyniło radziecką okupację bardziej niż do tej pory okłonna do kompromisu. Reagan stał się w ten sposób prezydentem, któremu przypisuje się położenie, wspólnie z Gorbaczowem kresu zimnej wojnie odywionej w wyniku radzieckiej napaści na Afganistan. Reagan miał świadomość tego, że jego szansa na przejście do historii w charakterze wielkiego prezydenta polegała na osiągnięciu porozumienia z Rosjanami w zakresie rozbrojenia i gwarancji pokojowych. Sprawy tej poświęcił ogromną ilość energii, szczególnie w ostatnich dwóch latach swego urzędowania. Mimo oporu części konserwatyistów, oskarżających prezydenta o zbyt dużą miłkość wobec komunistów i zdradę interesów Ameryki, jest rzeczą oczywistą (a dowodzą tego liczne ankiety), iż na popularność Reagana duży wpływ miało ogólne przekonanie, że przyczynił się do zapewnienia Ameryce większego bezpieczeństwa, odsuwając na plan dalszy potencjalne zagrożenie ze strony wrogiego imperium.

Znaczenie Ronald Reagana dla Ameryki przewyższa jednak samą jego konkretnych dokonania politycznych. Aby je właściwie ocenić, należy zdawać sobie sprawę z ogromnej kulturowej roli prezydentury w Stanach Zjednoczonych. Jak wiadomo, w odróżnieniu od większości krajów, na przykład krajów zachodnioeuropejskich czy Japonii, w Ameryce funkcje głowy państwa i szefa rządu nie są rozdzielone - łączą się one w osobie prezydenta, który powinien z jednej strony posiadać umiejętności pragmatycznego menadżera, z drugiej - cechy, które nadałyby mu wymiar symboliczny, jaki zawiera się w pojęciu przywódcy narodu. Słowem - powinien on posiadać cechy, które nazywamy charyzmatem, a także odznaczać się wyjątkowymi kwalifikacjami moralnymi. (Ten ostatni wymóg nabrawł szczególnego znaczenia od czasów afery Watergate. Graniczące z obecnością zainteresowanie stroną moralną kandydatów na prezydenta rzuciło się w oczy podczas ostatnich wyborów.) Dla ilustracji tego, jaką wagę przywiązują Amerykanie do charakteru swego prezydenta, zacytujmy wrywek wypowiedzi, którą na marginesie rozważań o scenarzystę Garcie wygłosiła dziennikarka Susanah Leonard: *mały* prawo znać kandydatów na prezyden-

tów tak samo jak osoby nam najbliższe. Być może świadczy to o tym, jak niezwykle bliska jest nam postać prezydenta. Nie jest on dla nas kimś dalekim ani też obiektem kultu, lecz bratem (może któregoś dnia będzie to siostra) obdarzoną władzą, której ciężar przerasta siły ludzkie. Nie możemy być od niego odizolowani, musimy widzieć, co czuje i o czym myśli.

Ronald Reagan potrafił nawiązać ciepły, emocjonalny kontakt z dużą częścią narodu amerykańskiego. Wprawdzie jego publiczne występy przed kamerami telewizyjnymi na konferencjach prasowych z upływem czasu stawały się coraz rzadsze, lecz kiedy do nich dochodziło, prezydent zostawiał po sobie bardzo korzystne wrażenie. Był ujmujący, ludzki, a zarazem pełen humoru i optymizmu. Usiłował przekonać wyborców, że jest człowiekiem, który nadal wierzy w amerykańskie wartości i że wartości owe istnieją obiektywnie, stanowiąc o nieprzemijającej sile i znaczeniu Ameryki w świecie. Prezydent znakomicie potrafił wykorzystywać swe talenty i doświadczenia aktorskie, szczególnie gdy w grę wchodziły występy przed kamerami telewizyjnymi. Można nawet pokusić się o stwierdzenie, że to dzięki nim zdobył i utrzymał przez dwie kadencje władzę i wpływy. Cóż, jest dzisiaj faktem - i to nie tylko w Ameryce - że telewizja wywiera ogromny wpływ na politykę. Z tego tytułu dziś bardziej jeszcze niż kiedykolwiek wcześniej polityk powinien posiadać umiejętności aktorskie. Reagan rozważał nie-dawno dziennikarzy uważa, że nie ma pojęcia, jak dawali sobie radę jego poprzednicy w Białym Domu, którzy przecież nie byli aktorami.

W dobie wzrostu nastrojów konserwatywnych Reagan, oceniający wiele zagadnień w czystych kategoriach dobra i zła, mógł liczyć na popularność wśród milionów Amerykanów, podobnie jak on obdarzonych silnym poczuciem moralności. Jego czarno-biała wizja obejmowała zarówno kwestie usuwania ciąży, jak i sprawy gospodarcze, a także problematykę polityki światowej. Nie jest tu istotne, do jakiego stopnia wyliź się w niektórych ze swych uproszczonych sądów. Ważne, iż swoją filozofią trafił do tych - a było ich wielu - którzy potrzebowali jasnych odpowiedzi, zgodnych z tradycją, w której zostali wychowani. Ronald Reagan czerpał swą siłę z faktu, iż jako polityk spełniał głębokie psychologiczne potrzeby milionów Amerykanów.

Nie wszystko - ma się rozumieć - układało się po jego myśli. Popularność prezydenta - na skutek pewnych potknięć - przechodziła różne etapy. Należy zwłaszcza wspomnieć największy kryzys jego prezydentury - aferę Irangate, kiedy to zanosilo się na powtórkie scenariusza z lat 1973-1974. W odróżnieniu od Nixona Reagan wyodrębnił jednak z tej próby obronną ręką, w dużej mierze dzięki uprzednio zebranemu ogromnemu kapitałowi sympatii i zaufania narodu. Nicniej jednak człowiek ów, uważany za mistrza perswazji i w unikalny niemal sposób oszczędzany przez zjadliwą zazwyczaj prasę i

telewizję, nagle znalazł się w ogniu najostrejszych ataków krytyki. Wprawdzie raport komisji Towara oczyścił go z podejrzeń o ukrywanie swego uczestnictwa w planach nielegalnego finansowania opozycji w Nikaragui z funduszy używanych za potajemną sprzedaż broni w Iranie, pozostało jednak powozyczne odczucie, iż prezydent nie uprawia kontrolni nad wydarzeniami w Białym Domu. Zaczęto rozprawiać o jego niekompetencji, odizolowaniu od współpracowników i rezygnacji z samodzielnego sprawowania władzy na rzecz nieznanego nikomu szarych eminencji w rodzaju pułkownika Olivera Northa, wroście - co było szczególnie nieuczynne - zaczęto wyliczać incydenty mające jakoby świadczyć o jego rosnącej nicudolności z powodu zaawansowanego wieku. Pojawily się nawet spekulacje, że ukrytym motorem działań prezydenta jest jego arhitna i żądna władzy małżonka - Nancy Reagan. Kiedy Biały Dom zdecydował się na bardziej aktywną politykę w dziedzinie rozbrojenia i odroczenia stosunków amerykańsko-sowieckich (w wyniku czego doszło do kilku spotkań na szczycie), napotkać można było w prasie amerykańskiej sugestię, iż Reagan pozując na zbawcę świata od zagłady nuklearnej, usiłuje odbudować swą reputację, nadzarpiętą w wyniku afery Irangate. Często również porównywano go z jego przeciwnikiem, Gorbaczowem, przyznając temu drugiemu przewagę pod względem wigoru, stanowczości, koapctencji i komunikatywności. Z czasem ta fala krytyki zaczęła jednak opadać. Okazało się, że Amerykanie znudzili się sensacjami afery Irangate i nikomu nie zależało na dalszym osłabianiu pozycji prezydenta. Nadzedł również czas nowej kampanii wyborczej, co spowodowało, iż goniąca za sensacją prasa znalazła sobie nowe obiekty zainteresowania. Gdy w dodatku okazało się, iż żaden z ubiegających się o fotel prezydencki kandydatów nie jest osobowością na skalę Reagana, urzędujący prezydent powrócił do łask mass mediów, przy czym ten na nowo odkryty afekt potęgował się w miarę zbliżania się końca jego kadencji. Nie ma wątpliwości co do tego, że z tej atmosfery życzliwości i szacunku dla odchodzącego prezydenta skorzystał jego protogowany - George Bush, który nie był bynajmniej surowym kandydatem na następnego gospodarza Białego Domu. W ostatnim popisie swjej sztuki perswazji Reagan postawił na szali swój autorytet, przekonując wyborców, iż tylko Bush jest w stanie zapewnić kontynuację jego własnej polityki. Wygrajcie ten ostatni mecz dla Gippera - prosil swych zwolenników, odwołując się żartobliwie do filmu, w którym jako kapitan drużyny futbolowej tymi słowami zagrzewa kolegów do zwycięstwa dla uczczenia odchodzącego trenera.

Jaką Amerykę zostawia po sobie Ronald Reagan? Czy względnie dobry stan państwa i gospodarki, jaki po sobie zostawia, ma silne, trwałe podstaty? Pytanie to budzi spory wątpliwości. Największy znak zapytania to wpływ na gospodarkę amerykańską konkurencji ze strony Azji, a także Europy Zachodniej.

Azji, a także Europy Zachodniej. Są ekonomisci, którzy twierdzą, iż Reagan pomógł oddać w zantaw przyszłość Ameryki, zgadzając się na jej życie ponad stan - o czym świadczy zadłużenie państwa (w roku 1980 obliczono na wyborcom, że choć obniży podatki, sprawnym zarządzaniem doprowadzi do redukcji deficytu). Wprawdzie za czasów Reagana Kongres uchwalił ustawę Gramm-Rudmana, wymuszającą na rządzie stopniowe ograniczenie wydatków, lecz sama, na jaką rząd zadłużył się zarówno u swych obywateli, jak i w obcych bankach, jest wprost niewyobrażalna: sięga kwoty pół biliona dolarów. Nic wiadomo jeszcze, jak długo będzie trwał ten okres nieco dziwnej prosperity i jak poważne mogą okazać się w przyszłości reperkusje nie rozwiązane problemu zadłużenia państwa. Jak dotąd, deficyt był częściowo rekompensowany przez znaczny napływ kapitałów z zagranicy, nie jest jednak pewne, czy proces ów (np. w wyniku dalszego potaniaenia dolara) będzie trwał w nieskończoność. Na skutek konkurencji szczególnie ze strony Japonii oraz innych krajów Azji Południowo-Wschodniej, Ameryka z największego światowego eksportera stała się największym importem, podpadła też wiele dziedzin przemysłu, w których niegdyś dzierżyła prymat (np. przemysł stalowy). Wszelki wzrost zatrudnienia następuje przede wszystkim nie w ofercie produkcji, lecz usług, co budzi duże niepokoję. Czy można być najbogatszym krajem na świecie, kupując tak dużo towarów wysoko przetworzonych za granicą? Czas przynieść odpowiedź na to pytanie.

Kłopoty Ameryki są jednak małe w porównaniu z problemami, przed jakimi stoi Związek Radziecki - i miliony Amerykanów zdaje sobie z tego sprawę. Widoczne bankructwo systemu komunistycznego miało swój wpływ na klimat polityczny w Ameryce. W latach osiemdziesiątych, a więc za czasów prezydentury Reagana, nastąpił odwrót od ideologii lewicy, która dochodziła nieraz do głosu w latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych. Nawet bynajmniej nie lewicowa Partia Demokratyczna przestała się liczyć w najważniejszych w Ameryce wyborach - wyborach prezydenckich. Wprawdzie zwiększyła ona swą przewagę w Kongresie, lecz w wyborach do Kongresu nie ścierają się ideologicznie. Jest to w praktyce rywalizacja dwóch różnych organizacji, dwóch oświatnych - ale nie pod względem ideowym - grup polityków, których przynależność partyjna nieraz jest w gruncie rzeczy sprawą czysto usowną. W wyborach prezydenckich, gdzie w grę wchodzi stawka o wiele większa - przyszłość kraju, Amerykanie uznali za bezpieczniejsze głosować na bardziej konserwatywnych Republikanów.

Obserwatorzy polityczni są zgodni co do tego, że w latach osiemdziesiątych spektrum opinii politycznych w Ameryce przesunęło się wyraźnie na prawo. To być może najważniejsza część schedy po Ronaldzie Reaganie.

Piotr Skurowski

aniżeli w przedstawieniu własnych, konstruktynych programów. Zauważono, że wiceprezydentowi udało się skutecznie zepchnąć Dukakisa do defonowy atakim na kilka słabych punktów rywala. Bush nazwał go mianowicie liberałem (co w konserwatywnej dekadzie lat osiemdziesiątych brzmi niemal jak oskarżenie), sugerując, iż w swych opiniach odchyła się on zbyt niebezpiecznie na lewo. Napiętnował m.in. jego rzekomy brak patriotyzmu (Dukakis podważał kiedyś - z punktu widzenia prawnego - zasadność składania w szkołach przysięgi na wierność Stanom Zjednoczonym), a także zbytne pobłażanie przestępcom. To ostatnie oskarżenie wiązało się z sprawą Williego Hortona, skazanego na więzienie za gwałt połączony z mordem. Dzięki liberalnej polityce Dukakisa - gubernatora Massachusetts został on wypuszczony z więzienia na przepustkę, co umożliwiło mu popełnienie zbrodni po raz wtóry.

Dukakis, a wraz z nim prasa - trzeba przyznać, że nie bez przyczyny - potępiły Busha za próby obrzucenia przeciwnika błotem i przekształcenia walki politycznej w walkę na pięści. Najwięcej nieśmaku budziło wywlekanie sprawy Hortona, która miała niedopowiedziany, acz istotny podtekst rasowy: Horton był Murzynem. Bush odznęwał się od złych zamiarów, podkreślając, iż często nie ma wpływu na poczynania swoich zwolenników, drukujących rozmaite ulotki. Tak więc odejął się zdecydowanie od autorów ulotki rozdawanej przez Republikanów w stanie Illinois, głoszącej wielkimi literami (w związku ze sprawą Hortona), iż wszyscy mordercy i gwałtcieli będą głosować na Dukakisa.

Ważną rolę w wyborach, co jest już tradycją szczególnie od czasów kampanii w 1960 roku, odegrała telewizja. Wprawdzie Bush nie był w stanie posłużyć się nią z równym powodzeniem, co jego poprzednik w Białym Domu, jednak ten najbardziej masowy ze środków przekazu sprzyjał mu bardziej niż Dukakinowi. Dysponując większymi niż rywal funduszami, mógł on w końcowej fazie batalii częściej pojawiać się na ekranie w krótkich, profesjonalnie wyreżyserowanych reklamkach. Dukakis ze względu na brak pieniędzy zmuszony był do pokazywania się w telewizji... za darmo, ale ponosząc przez to o wiele większe ryzyko (za darmo kandydat wystąpić może jedynie w programach publicystycznych, gdzie zazwyczaj służy za workę treningowy, wystawiony na razy wymierzone mu przez agresywnych dziennikarzy). Wiceprezydent Bush wypadł też bardziej przekonująco od gubernatora Massachusetts w kulminacyjnej kampanii wyborczej - w dwóch debatach sam na sam z przeciwnikiem przed kamerami telewizyjnymi.

W komentarzach prasowych podkreślano jednak, że ostateczny sukces George Bush zawdzięcza nie tyle swojej osobowości, co czynnikom zewnętrznym. Mówiono więc o tym, że pomógł mu wygrać jego przeciwnik - Dukakis, w jeszcze mniejszym stopniu obdarzony cechami charyzmatycznymi niż kandydat Republikanów. Zwraca się też uwagę

na wyższość organizacyjną i przewagę finansową Partii Republikańskiej nad Demokratami, którzy potrakowali ostatnie wybory mniej profesjonalnie od przeciwników. Rozpowszechnione jest też przekonanie, iż w gruncie rzeczy wybory wygrał... Ronald Reagan i że to jego popularności właśnie zawdzięcza Bush swój sukces.

Czego należy się spodziewać po George'u Bushu - prezydencie? To pytanie zadaje sobie dzisiaj wielu obserwatorów, nadal niepokonych co do profilu politycznego następcy Reagana. Jak wiadomo, obodny prezydent nie podbił serc Amerykanów wielką wizją, tak jak robili to niektórzy z jego poprzedników - Kennedy, Johnson czy Reagan. Zapytany już po wyborach o swą wizję przyszłości, Bush odparł dość ogólnikowo, że chciałby za swej kadencji oglądać Amerykę mniej nerwową, zagodniejszą. W głównych zarysach jego polityka będzie zapewne kontynuacją reaganowskiej, z pewnymi, zapowiedzianymi przezon w trakcie kampanii, modyfikacjami. Położy zapewne większy nacisk na naprawienie stosunków z mniejszością murzyńską, której starania o bardziej autentyczne zrównanie w prawach z białymi nie uzyskały większego poparcia ze strony Reagana. Bush obiecuje również dokonać drobnych poprawek w konserwatywnej polityce wobec warstw najuboższych. Ma zamiar wprowadzić nieznaczne ulgi podatkowe dla ubogich rodzin w celu umożliwienia ich dzieciom korzystania z opieki przedszkolnej, a także zwiększyć pomoc dla bezdomnych. W sferie jego scenariusz jest zapewne podobny do tego, jakim kierowały się poczynania Białego Domu w okresie minionych lat. Powstaje jednak istotna kwestia: czy scenariusz ów powinien i może być powielany przez nowego prezydenta? Bush będzie musiał w sposób bardziej zdecydowany niż Reagan przystąpić do niwelowania monstrualnego deficytu. To niezwykle trudne zadanie. Prezydent w dodatku nie może liczyć na to, że jego stosunki z Kongresem będą układały się równie pomyślnie jak za czasów Reagana. Wprawdzie Reagan od początku musiał ułożyć sobie współzycie z kontrolowaną przez Demokratów Izbą Reprezentantów, a od 1982 roku również Demokratycznym Senatem, lecz Bush nie dysponuje jego atutami: siłą perswazji i ogromną popularnością. Będzie zapewne również zmuszony do odstąpienia od swych przedwyborczych obietnic, że nie zamierza podnieść podatków, a to może dodatkowo zachwiać jego pozycję.

Jest prawdopodobne, że główny nacisk George Bush położy na politykę zagraniczną. Wynika to z jego dużego doświadczenia w tym zakresie, ale przede wszystkim wymaga tego aktualna sytuacja międzynarodowa. Chcąc odgrywać rolę przywódcy Zachodu będzie on musiał odpowiedzieć na wyzwanie ze strony Gorbaczowa i przejść do ofensywy dyplomatycznej, mającej na celu udokumentowanie pokojowych planów Stanów Zjednoczonych. Jeśli Rosja rzeczywiście zamierza położyć kres swemu ekspansjonizmowi, a przynajmniej jeśli Europa Zachodnia będzie...

ed. na s. 12

dzic skłonna w to uwierzyć, powstanie zasadniczo nowa sytuacja, która doprowadzić może do ponownego rozważenia przez Zachód swej koncepcji obronnej. Ameryka najprawdopodobniej otrzymywać będzie z Europy sprzeczne impulsy. Z jednej strony bowiem Europa obawiać się będzie wycofania się wojsk amerykańskich, z drugiej - Amerykanie napotykać będą zapewne opory przy próbach modernizacji europejskich armii sojuszniczych. Można oczekiwać, że Ameryka będzie powoli dążyć do zmniejszenia obciążających budżet wydatków zbrojeniowych, oczekując od sojuszników - zarówno w Europie jak i Japonii - stopniowego odciążenia jej jako gwaranta ich bezpieczeństwa. Proces ten zresztą może nastąpić

szybciej, niż się tego oczekuje. Już dziś na przykład Japonia posiada trzecią pod względem potencjału militarnego armię świata. Jest rzeczą możliwą, że - jeśli rozkład imperium sowieckiego będzie postępował odpowiednio szybko - już za prezydentury Busha Stany Zjednoczone staną przed paradoksalnym dylematem: jak postępować w precesyjnej i czasie zakończenia wojny sytuacji braku zagrożenia? Roger Rosenblatt w styczniowym numerze "U. S. News and World Report" przewidując taki rozwój wydarzeń pisze na przykład: Co ma zrobić supermocarstwo, kiedy zobawione zostaje swego głównego przeciwnika? [...] Pociągi międzykontynentalne nadal drzewią w swych podziemnych silosach, sat-

lity szpiegowanie nieatrudzenie wykonują swą misję w gwiazdnej przestrzeni. Lecz abstrakcyjne wersje pojedynku kolosów wydają się być dzisiaj nie realne w obliczu ekonomicznego i politycznego bankructwa Sowietów [...] Sytuacja [Ameryki] przypomina scenę z "Różowcy Pantofle": oto drzwi, które wydawały się zamknięte, otwierają się niespodziewanie na odciec, wpuszczając do środka rozpędzonego inspektora Clouscau, usiłującego sforsować je własnym barkiem. Wizja Rosenblatta jest wprawdzie zbyt optymistyczna, ale bardzo porażająca. Wypada życzyć Ameryce George'a Busha, aby drzwi, o których była mowa, okazały się naprawdę otwarte.

P.S.

GLENN ADLER

Strajk w Port Elizabeth

RPA październik-listopad 1986

Spór o sankcje w Południowej Afryce wszedł w nową fazę pod koniec 1986 roku, kiedy to amerykańskie kompanie zaczęły wprowadzać w życie ustawę przeciwko apartheidowi, uchwaloną przez kongres Stanów Zjednoczonych. W ostatnich miesiącach 1986 r. tysiące czarnych robotników odczuły bezpośrednio skutki tych sankcji, kiedy wiele towarzystw amerykańskich postanowiło wycofać swoje kapitały z Południowej Afryki. Jaskrawym przykładem była sytuacja w zakładach General Motors (GM) w Port Elizabeth. Czarnoskórzy pracownicy (w liczbie prawie 1.900) odłożyli narzędzia pracy i rozpoczęli strajk okupacyjny, po tym jak kierownictwo zakładu odrzuciło ich żądania sformułowane w wyniku decyzji GM o sprzedaży przedsiębiorstwa. Rozdrażnieni faktem, że GM nie poinformował ich o mającej nastąpić sprzedaży towarzystwa lokalnemu rządowi, a tym bardziej - że nie skonsultował z nimi tej decyzji, pracownicy podejrzewali, że plan ten jest jedynie wybiegiem maskującym prawdziwe intencje towarzystwa - zamiar zamknięcia deficytowej fabryki i niewypełnienia finansowych zobowiązań wobec jej pracowników.

Przykład GM nie uzasadnia jednak ani najgorszych obaw, ani najśmielszych oczekiwań przeciwników czy zwolenników sankcji. Przejawiającej się w początkowym etapie wycofywanie kapitału amerykańskiego nie spowodowało bezrobocia ani zubożenia czarnych pracowników. Jednocześnie nie osłabiło gospodarki, a w wielu istotnych aspektach przyczyniło się do wzmocnienia przedsiębiorstwa. Jednak poza skutkami makroekonomicznymi ważny wydaje się również wpływ podobnych akcji na układ sił pomiędzy kapitałem a robotnikami. [...]

General Motors
wycofuje swoje kapitały

...to przedsiębiorstwo pozostanie tutaj przez następny tydzień, następny miesiąc i następny rok - zapewniał Bob White, dyrektor do

spraw zarządzania w południowoafrykańskiej filii General Motors.

Spekulacje dotyczące przyszłości przedsiębiorstwa osłabły nieco pod koniec 1986 roku, kiedy to wypuszczono na rynek pojazdy z nowej serii Monza, w którą GM zainwestował ponad 35 milionów randów. Sugerowało to przynajmniej tymczasowy zamiar pozostania w Południowej Afryce. W tej sytuacji jedynie nieliczni przygotowani byli na złowróżbne oświadczenie, wydane przez prezesa General Motors Company (GMC), Rogera Smitha, a przekazane za pośrednictwem United Auto Workers (UAW). W oświadczeniu tym stwierdzono, że firma macierzysta rozpatruje zasadność swojej obecności w Południowej Afryce z punktu widzenia interesów politycznych i ekonomicznych. Odmowa skomentowania tej wypowiedzi przez przedstawicieli firmy w wypowiedziach prasowych nie przyczyniła się do złagodzenia powstającego napięcia.

Po tej deklaracji przedstawiciele związku NAAUW (National Automobile and Allied Workers Union), zażądali natychmiastowego spotkania z White'm. Doszło do niego 16 października, i według relacji delegatów związku White zaprzeczył, jakoby podejmowano jakiegokolwiek wysiłki w celu sprzedania przedsiębiorstwa. Ponadto Bob White podkreślał, że wypowiedź Smith'a została błędnie przytoczona przez prasę. Pomimo zapewnień dyrektora do spraw zarządzania, robotnicy z GM czuli się coraz bardziej niepewnie, zwłaszcza że prasa codziennie zamieszczała sprawozdania z toczących się na wysokim szczeblu negocjacji, dotyczących przyszłości przedsiębiorstwa, przeczące wersji podawanej przez kierownictwo GM.

Oficjalne oświadczenie GM w sprawie ewentualnych zmian ukazało się dopiero 20 października, a więc sześć dni po wypowiedzi Rogera Smith'a. W tym czasie nie odbyło się żadne inne spotkanie przedstawicieli robotników z członkami zarządu firmy czy też władz przed-

siębiorstwa z otwartymi działaczami związków NAAUW lub MACWUSA (Motor Assemblers and Components Workers Union of South Africa). Oświadczenie podawało do wiadomości publicznej, że General Motors Company pozostanie w Afryce Południowej do końca roku 1986, kiedy to firma macierzysta zamierza sprzedać swoje udziały w filii południowoafrykańskiej GM grupie członków jej egzekutywy. Nie przewiduje się żadnych koneksji z korporacją południowoafrykańską czy też z miejscowymi finansistami. Nic nie zagrazi trzem tysiącom miejsc pracy w Port Elizabeth, a korporacja dostarczy pieniędzy likwidujących zadłużenie filii w Afryce Południowej.

W czasie konferencji prasowej w Johannesburgu Bob White powiedział, że decyzję o sprzedaży firmy podjęto na zebraniu zarządu 6 października, czyli na dziesięć dni przed zaskakującym oświadczeniem Smith'a, a przypisano jej realizację o sześć tygodni, żeby zdążyć przed ostatecznym terminem nałożenia sankcji w połowie listopada. Po tym terminie rozpoczęnie jakiegokolwiek inwestycji w Południowej Afryce byłoby z punktu widzenia nowego ustawodawstwa nielegalne. Fakt, że niektórzy miejscowi businessmeni i działacze społeczni zasięgnęli opinii konsultantów w sprawie ewentualnej zmiany struktury przedsiębiorstwa wskazywał, że sprzedaż ta była brana pod uwagę już od pewnego czasu.

Okazało się wkrótce, że przedsiębiorstwo miało jeszcze jeden powód aby jak najszybciej ostatecznie zakończyć transakcję. Jak wynikało z raportów w piśmie "Automotive News", zgodnie z amerykańskim prawem podatkowym GMC przyzubiwał rabat podatkowy wynoszący 45 centów na dolarze za każdy dolar stracony przez firmę w Afryce Południowej. Raporty te wyjaśniały, że mimo iż przedsiębiorstwo amerykańskie nie musi uwzględniać strat ponoszonych przez ich zamorskie filie w krajowym systemie podatkowym, mogą one odpisać stra-

ty nagromadzone w przeciągu roku w przypadku sprzedaży filii. Gdyby zaczęto sprzedawać przedsiębiorstwa do roku 1987, rabat podatkowy spadłby do 40%, 1 czerwca wyniósłby 34%, potem zaś przetrwałby dla działań w ogóle. "Automotive News" oceniło wysokość strat poniesionych przez GM w Afryce Południowej na dziesiątki milionów dolarów, która to suma ulegała potrąceniu. Co więcej, przedsiębiorstwo miało być uprawnione do potrącania pieniędzy wpłaconych w celu pokrycia długu filii.

Wypowiedź White'a nie przyczyniła się bynajmniej do uspokojenia robotników, zwłaszcza, że wśród kwestii pozostawionych przez niego bez odpowiedzi znajdowała się również sprawa przyszłego statusu pracowników, składu miejscowej egzekutywy mającej przejąć przedsiębiorstwo, a także zasad, na których miałyby się dokonać jego sprzedaż. Niezbyt jasne było również, dlaczego rzecznicy firmy mieliby zwlekać tyle czasu z wyjaśnieniem prawdy lub też z jakich powodów szef zarządu miałby wygłosić tak dwuznaczne i niepełne oświadczenie, zapewniające o planach działania przedsiębiorstwa przez następny tydzień, miesiąc i rok, gdyby on sam lub inni członkowie egzekutywy wiedzieli o sprzedaży już 4 października. Niezrozumiałość, z jaką kierownictwo ujawniło swoje plany, natychmiast podważyła jego wiarygodność i doprowadziła do tego, że robotnicy stracili zaufanie do jakiegokolwiek jego oświadczeń.

21 października, podczas drugiego spotkania przedstawicieli robotników GM z zarządem firmy, proces miał okazję do wyjaśnienia nieporozumień. Mimo to delegacja robotników opuściła zebranie z uczuciem rozczarowania, twierdząc, że nie ujawniono niczego, o czym już wcześniej nie donosiłyby gazety. Tego samego dnia Komitet Wykonawczy Oddziału NAAWU w GM zwołał zebranie członków na czwartek 23 października w celu przedyskutowania sytuacji w przedsiębiorstwie i omówienia planów działania. Trzecia runda rozmów z szefem zarządu w czwartek znów nie wyjaśniła spornych kwestii i zebranie związkowe odbyło się tego samego dnia zgodnie z wcześniejszą decyzją. Związek MACWUSA nie brał w nim udziału. Sala przeznaczona na spotkanie została zamknięta na 17.00, ale ponieważ poprzedzające je obrady przedłużyły się, zebranie GM rozpoczęło się dopiero o 18.30. W międzyczasie robotnicy niecierpliwili się. Niektórzy, odwiedzili miejscowy sklep z alkoholem i byli na dobrej drodze do upicia się przed rozpoczęciem zebrania. Wielu innych dosadnie wyrażało niezadowolone z wypadków ostatnich dwóch tygodni. Spotkanie miało przebieg gorączkowy, a nawet awanturny. Kolejni mówcy ostro krytykowali kierownictwo GM i w miarę jak narastała atmosfera potępienia, coraz bardziej entuzjastyczne poparcie zyskiwały apeli o rozpoczęcie strajku. Interwencja etatowych działaczy związku przywróciła obradom nieco dyscypliny oraz wpłynęła na zaniechanie planów natychmiastowego przystąpienia

do strajku. Uchwalono natomiast przedłożyć kierownictwu firmy następujących żądań: wypłacenie pracownikom ich składek rentowych i emerytalnych, tak aby mogli je wpłacić na fundusz oszczędnościowy, administrowany wspólnie przez przedsiębiorstwo i związek; wypłacenie odpraw; prawo do wybierania dwóch przedstawicieli robotników do rady nadzorczej nowego przedsiębiorstwa oraz zwołanie w trybie pilnym zebrania w celu przedyskutowania tych kwestii z kierownictwem firmy. W przypadku, gdyby zarząd przedsiębiorstwa odmówił przyjęcia tych żądań do poniedziałku 27 października, następnego dnia miało zwołać kolejne spotkanie decydujące o dalszym działaniu i możliwości ogłoszenia strajku. W międzyczasie funkcjonariusze związku mieliby szansę zorganizowania miejscowego i międzynarodowego poparcia ewentualnej akcji strajkowej.

Reakcja GM na żądania robotników była szybka i negatywna. Odpowiedź kierownictwa nie została jednak przesłana bezpośrednio do związku, lecz zamieszczono ją w sobotnim artykule w "Eastern Province Herald" (25.X.), który przytaczał list skierowany do NAAWU przez George'a Steganna, dyrektora GM do spraw stosunków w przemyśle. Cytowano wypowiedź Steganna stwierdzającą, że NAAWU domagał się wpłacenia pieniędzy dla uspokojenia swojego sumienia. Dyrektor przyznawał, że oświadczenie kierownictwa może wywołać pewien niepokój lub obawy... dotyczące zdolności przedsiębiorstwa do przetrwania, ale jednocześnie przekonywał, że GM czyni wszystko, aby zachować miejsca pracy i zapewnić ciągłość zatrudnienia. Ponieważ warunki zatrudnienia w nowym przedsiębiorstwie pozostałyby niezmienione, żądanie wypłacenia czy to składek emerytalnych i rentowych, czy to odpraw jest nieuzasadnione. Kwestia zaś reprezentacji robotników w radzie dyrektorów powinna być przedyskutowana z nowym zarządem przedsiębiorstwa.

W zamiarze przypisania członkom NAAWU roli głównych antagonistów Stegann oświadczył: Jeśli wśród członków waszego związku są pracownicy nieprzygotowani do poparcia nowego przedsiębiorstwa i zainteresowani zmianą miejsca pracy, firma gotowa jest zapewnić w indywidualnych przypadkach zasiłki, przewidziane z tytułu redukcji. Po czym dodał chłodno: wierzymy, że w rejonie Port Elizabeth znajduje się wystarczająca liczba bezrobotnych, którzy z radością powitają możliwość pracy w nowej firmie.

Stegann zignorował żądania NAAWU w sprawie pilnego spotkania z kierownictwem zakładu. Odmowa rozmów z przedstawicielami związku i publiczna groźba zatrudnienia bezrobotnych w miejsce strajkujących robotników skutecznie zatrzasnęły drzwi przed jakimkolwiek rozwiązaniem oprócz strajku. W poniedziałek 27 października Bob White, szef do spraw zarządzania, próbował przedyskutować tę kwestię z robotnikami bezpośrednio w hali fabrycznej, ale poniósł porażkę. W poniedziałek wieczorem odbyło się znaczne bardziej zdyscyplinowane

spotkanie, na którym robotnicy podjęli decyzję o rozpoczęciu następnego strajku okupacyjnego. Tak jak poprzednio, w spotkaniu nie brał udziału związek MACWUSA.

W oświadczeniu wydanym po zebraniu robotnicy wyrazili swoje głębokie niezadowolone z powodu aroganckiego stanowiska GM [...] w sprawie wycofania kapitałów firmy z Południowej Afryki. W żadnej z poruszanych kwestii przedsiębiorstwo nie wykazywało chęci do konsultacji. [...] Ani razu nie wyjaśniło ono przedstawicielom związku, kim będą nowi właściciele firmy i w jakich warunkach oraz na jakich zasadach będzie to przedsiębiorstwo funkcjonować.

Robotnicy strajkują
GM podaje sprawę do sądu

Następnego dnia, w środę 29 października wszyscy robotnicy pojawili się w fabryce o normalnej porze. Odmówili wykonywania swoich obowiązków i zamiast tego zbrali się w zakładowej kantine. Trzech przedstawicieli MACWUSA postanowiło przeprowadzić głosowanie wśród członków związku (około 125 robotników afrykańskich). W wyniku głosowania MACWUSA przyłączyło się do strajku. Od tej pory był on kierowany przez komitet utworzony z reprezentantów obu związków.

Zarządca do spraw stosunków w przemyśle, Robert McIlwaine, natychmiast powiadomił robotników, że ich strajk jest nielegalny. Oświadczył, że akcja strajkowa nie leży w interesie firmy ani jej pracowników. Dodał, że przedsiębiorstwo zwróciło się do Sądu Najwyższego o orzeczenie stwierdzające nielegalność strajku i wywołujące wszystkich robotników do podjęcia pracy do 3 listopada pod groźbą zwolnienia. W zapowiedzi, że akcja zostanie prawdopodobnie uznana sądownie za nielegalną, egzekutywa szukała uzasadnienia dla zwalniania poszczególnych robotników w razie przedłużania się strajku.

Reakcja przedsiębiorstwa odbiegała od przyjętej dotychczas w przemyśle praktyki rozwiązywania konfliktów z robotnikami. Zakłady samochodowe w Eastern Cape prawie nigdy nie zwracały się do Sądu Najwyższego o orzeczenie nielegalności strajku, a już na pewno nie w początkowej fazie konfliktu. W rzeczywistości ostatni legalny strajk zorganizowany przez NAAWU miał miejsce w Eveready w roku 1978. Natomiast ogarniające cały region strajki o wzrost wynagrodzeń w latach 1980 i 1982, były z formalnego punktu widzenia również nielegalne.

Natychmiastowa decyzja firmy o sądowym rozstrzygnięciu konfliktu, zanim podjęto jakiegokolwiek rozmowy, świadczyła o niechęci do osiągnięcia porozumienia na drodze negocjacji.

Przedsiębiorstwo zamierzało uzyskać na drodze sądowej to, co inni pracodawcy osiągnęli w czasie dyskusji po dwóch stronach stołu. Sądza Sądu Najwyższego Jennet zagwarantował ruli nisi, żądając by związek przedstawił do 3 listopada powody, dla których strajk nie może być uznany za nielegalny.
cd. na s. 14

zaś kierownictwo miało się powstrzymać od zwalniania strajkujących robotników.

W dniu rozpoczęcia strajku zarząd firmy po raz pierwszy od czasu wypowiedzi Rogera Smitha z 15 października spotkał się z etatowymi działaczami NAAWU. Nie osiągnięto jednak żadnego postępu w rozmowach. W międzyczasie robotnicy przygotowywali okupację fabryki. Pracownicy największych zakładów GM mieszczących się w Kempston Road zorganizowali system komisji, stanowiących przedłużenie formalnych struktur reprezentujących robotników. Zadaniem komisji było zajęcie się istotnymi dla strajkujących kwestiami, zwłaszcza omawianiem postulatów z kierownictwem firmy, organizowaniem miejsc do spania, dostawą żywności oraz zachowaniem dyscypliny. W dobrze zorganizowanych zakładach GM Locomotive, mieszczących się w Alocs, parę kilometrów na północny wschód od Port Elizabeth, struktury takie istniały już dużo wcześniej i łatwo było przystosować je do nowej sytuacji. W środę wieczorem około 500 robotników okupowało zakłady w Kempston Road, a blisko 160 w Alocs.

Sprawa dyscypliny w czasie strajku znalazła się w centrum zainteresowania prasy i kierownictwa zakładu. W drugą dzień strajku około dwudziestu kompletnie ubranych robotników zostało przemocą wrzuconych pod ziemię przyznac w zakładowej kąpieli. "Eastern Province Herald" określił ten incydent jako pierwsze zakłamanie dyscypliny strajkowej, twierdząc, że był on wymierzony przeciwko tym robotnikom, którzy udali się na noc do domów. GM wyolbrzymiło to zajęcie, dając do przetrwania okupacji fabryki nakaz sądu i podkreślając, że przedsiębiorstwo potrzebny jest taki nakaz w celu zapobieżenia aktom przemocy i próbom zastraszenia pracowników, którzy chcieliby kontynuować pracę.

Przywódcy strajku powiedzieli, że ziemię przyznac zaaplikowano tym pracownikom, którzy byli pijani lub usiłowali przeczołkować zebraniom. Doświadczenie z meetingu 25 października jasno wykazało, w jaki sposób kilku oszołomionych alkoholem robotników może sprawić kłopot pozostałym. Liderzy strajkowi stwierdzili, że dyscyplina jest konieczna zarówno ze względu na ochronę mienia zakładu, jak też - aby zapobiec ewentualnym działaniom prowokatorów.

Strajk i okupacja fabryki trwały nadal w czwartek i piątek, a dyskusje pomiędzy funkcjonariuszami związku a kierownictwem nie przyniosły żadnych rezultatów. Robotnicy zdecydowali się na opuszczenie zakładu w sobotę rano, przygotowując się do ewentualnej zmiany strategii w oczekiwaniu na wynik poniedziałkowego posiedzenia sądu.

W tym samym czasie w Johannesburgu na wspólnym zebraniu Narodowej Rady Wykonawczej z udziałem NAAWU, związków Allied Worker's Union i Motor Industry Combined Worker's Union (te trzy związki przygotowywały się do utworzenia nowego związku pracowników przemysłu metalowego) zredagowano oświadczenie popierające

strajkujących robotników GM. Związki opracowały listę żądań pracownikom wobec każdego przedsiębiorstwa, wycofującego swoje kapitały z Afryki Południowej, zwłaszcza w przypadku odprzedawania akcji miejscowemu kierownictwu.

To wspólne oświadczenie umocniło dążenia robotników GM oraz zmobilizowało ich do sformułowania projektów narodowych postulatów wycuwanych przy negocjowaniu warunków wycofywania kapitałów przez obce firmy.

NAAWU

przedstawiła swoją sprawę w sądzie

W poniedziałek 3. listopada robotnicy powrócili do fabryk w Kempston Road i Alocs, lecz odmówili podjęcia pracy. Przedsiębiorstwo nie zamknęło przed nimi bram zakładu. O 9.30 przedstawiciele związku mieli przedstawić swoją sprawę sędziemu Jennet'owi w Sądzie Najwyższym i zdecydować o dalszym postępowaniu po wydaniu przez sąd orzeczenia. W dobrowolnym oświadczeniu pod przysięgą Fred Sauls, sekretarz generalny NAAWU przyznał, że z proceduralnego punktu widzenia strajk był nielegalny i że jego rozpoczęcie nie poprzedziło żadne formalne głosowanie. Sauls przeszedł od wąsko pojętego zagadnienia legalności do rozważań nad zasadniczymi żądaniami robotników. NAAWU - powiedział - wykazuje prawdziwe i nacechowane współczuciem zrozumienie dla sytuacji, która doprowadziła do niezgodnego z prawem strajku.

Powołując się na zamykanie zakładów Forda w 1985 roku, Sauls oznajmił, że NAAWU zdołał wynegocjować różnorakie świadczenia z tytułu odpraw dla około 4 tysięcy robotników, którzy stracili pracę w wyniku fuzji przedsiębiorstw. Zauważył jednak, że fundusz płac Forda jest administrowany przez wyznaczoną przez zarząd komisję, która może wnosić dowolne poprawki do systemu wynagrodzeń. Zazwyczaj pracownicy odchodzący na emeryturę otrzymywali swój wkład z funduszu emerytalnego plus udział w akcjach przedsiębiorstwa oraz procenty od obu sum. Zaś pracownik odchodzący przed emeryturą miał otrzymać jedynie swój oprocentowany wkład. Sauls podkreślił, że komisja płacowa Forda wniosła do zasad wynagrodzenia poprawki, które umożliwiły płacenie odpraw z pięcioletniej pozostałości z funduszu emerytalnego: wkład pracodawcy plus procent. W gruncie rzeczy, dowodził, robotnikom nie wypłacano całych należnych im zasiłków. Tak więc obawy strajkujących w GM, że nie otrzymają oni zasiłków płacowych lub że fundusz emerytalny zostanie przekazany nieznanym jednostkom, są uzasadnione. Zgodnie z tym, co mówił Sauls, robotnicy nie domagali się zapewnień ze strony filii południowoafrykańskiej, że nowe przedsiębiorstwo będzie honorować wszystkie porozumienia, lecz chcieli, żeby wypłacono im ich wkładki emerytalne, zania prawo własności zakładu przekazane zostanie lokalnemu zarządowi.

Przyrzeczali oni, że GM zamknie swoje zakłady i że z tego tytułu należą im się odprawy. Co

więcej - uważali oni, że GM ma obowiązek docenić ich wkład w tworzenie przedsiębiorstwa. Według argumentacji Saulsa strajk był jedyną bronią dostępną robotnikom po tym, jak kierownictwo odmówiło negocjowania spornych kwestii i nie ujawniło swoich zamiarów co do sposobu dalszego funkcjonowania przedsiębiorstwa.

Zarząd przedsiębiorstwa, być może w zamiarze umożliwienia rozmów, zwrócił się do sądu o wstrzymanie decyzji na czas 10 dni. Tak więc nie wydano żadnego konkretnego orzeczenia w sprawie strajku, jakkolwiek NAAWU zgodził się z faktem, że kierownictwo firmy miało prawo usunąć z pracy strajkujących robotników. Pracownicy w obu fabrykach zdecydowali o kontynuacji strajku i akcji protestacyjnej. W liście skierowanym do zarządu prawnik związkowy NAAWU podkreślił, że ustawiczna niezdolność południowoafrykańskiej filii GM do sprocyzowania swoich intencji jest zasadniczą przyczyną powstałej sytuacji.

W poniedziałkowy wieczór w Johannesburgu GM zorganizował długą odkładaną konferencję prasową, mającą ujawnić szczegóły dotyczące odsprzedaży firmy, przedstawił nowy zarząd i zaprezentował nową serię pojazdów Monza. Jednak i tym razem ilość pytań spowodowanych przez członków egzekutywy przekraczała ilość udzielonych przez nich odpowiedzi. W przeciwieństwie do poprzednich deklaracji, że transakcja odsprzedaży dokonana będzie bez udziału jakiegokolwiek korporacji południowoafrykańskiej, Keith Butler Wheelhouse, szef produkcji oznajmił, że GM skorzystał z pomocy banku handlowego, którego nazwy jednak nie podano. Pomimo ustalonych zobowiązań niezmienniania polityki firmy, Butler Wheelhouse oświadczył, że nowe przedsiębiorstwo rozważy ponownie podjętą uprzednio decyzję filii w kwestii zakazu sprzedaży samochodów policji południowoafrykańskiej (SAP) i siłom obrony (SADF). Nie wydaje mi się, by jakiegokolwiek przedsiębiorstwo zaczynało działalność od ograniczania swoich rynków zbytu - stwierdził Butler Wheelhouse. Korrespondent "Eastern Province Herald" parę razy podkreślił, że członkom egzekutywy nie udało się odpowiedzieć na niektóre pytania związkowców: Pomimo starań pytających, pan Bob Price, szef do spraw zarządzania w nowym przedsiębiorstwie uchylił się od udzielania jakiegokolwiek informacji o sprawach finansowych.

Oczywista było, że robotnicy będą kontynuować strajk. Pewne nadzieje na porozumienie wzbudziło spotkanie delegacji kierownictwa, na czele której stał McIlwaine, z komitetem strajkowym. McIlwaine skłonny był poruczyć sprawę zasiłków, obiecał przedyskutować z firmą macierzystą w USA kwestię płacenia odpraw oraz przedstawił nowemu zarządowi zagadnienie reprezentacji robotników w radzie dyrektorów. Przyrzekł, że nie nastąpi żadne zwolnienia ani nie będzie wydany zakaz wstępu robotników na teren fabryki, dopóki zarząd firmy nie ustosunkuje się do żądań związkowców. Okupacja zakładu przedłużyła się o kolejny

dzień. I tak rozpoczął się drugi tydzień strajku.

GM wzywa siły porządkowe

Wielu obserwatorów wydawało się, że środa 5-ego listopada przyniesie rozwiązanie konfliktu. Gdyby kierownictwo uznało słuszność żądań robotników w kwestii wypłat emerytalnych, mogliby oni postanowić o powrocie do pracy w oczekiwaniu na dalszą dyskusję na temat odpraw. Wypadki przyjęły jednak inny obrót i konflikt przybrał na sile.

W czasie decydującego spotkania z przedstawicielami filii, w tym także Boba White'a, z połączonej reprezentacji związkowej, GM oświadczył, że jakkolwiek skłonny jest przedyskutować kwestię emerytur, nie przewiduje żadnego wypłacania odpraw, jako że aktywna południowoafrykańskiej filii GM, stanowiąc podstawę zatrudniania pracowników, pozostają nieknięte, a zainicjował się jedynie właściciel firmy.

W trakcie zebrania zarząd poinformował, że nie zamierza prowadzić dalszych negocjacji, jeśli nielegalny strajk będzie trwał nadal, a robotnicy będą okupować fabrykę. White polecił, aby okupujący fabrykę opuścili miejsce strajku do 15.45, w przeciwnym razie bowiem zostaną zwolnieni lub eksmitowani. Żądał od przedstawicieli związku, aby przekazali jego instrukcję robotnikom. Oni zaś domagali się, by zarząd sam poinformował strajkujących, oraz przedstawili ostatnią prośbę: aby GM powiadomiło o tym stanowisku związek zanim wezwie siły policyjne. Tym gwałtownym akcentem zakończyło się trwające dziesięć minut spotkanie. Droga negocjacji została zamknięta.

Późnym wieczorem oddziały SAP i SADF weszły na teren obu fabryk, aby usunąć z nich robotników, którym kierownictwo poleciło oddać znaczki identyfikacyjne przy opuszczaniu zakładu. Oficer łącznikowy SAP oświadczył, że nie użyto zbyt wielkiej siły do usunięcia strajkujących. Tymczasem wedle raportów działaczy związkowych wokół terenu zakładów w Kempston Road znajdowało się przynajmniej 40 pojazdów z siłami bezpieczeństwa, a część z nich wjechała na teren fabryki. Robotnicy, którzy byli w tym czasie w kantine twierdzili, że dywizyjny patrol nie otoczony przez patroły SAP i SADF. I rzeczywiście, jak się później okazało, dowódca brygady SAP w Eastern Cape, Ernst Schnetler umieścił swoje stanowisko do wódzenia wewnątrz fabryki i stamtąd osobiście obserwował na monitorach przebieg akcji. Wobec ogromnej przewagi sił policyjnych strajkujący zdecydowali się na opuszczenie zakładu. 567 robotników zostało zwolnionych i usuniętych z obu fabryk. Następnego dnia, w czwartek 6 listopada, przedsiębiorstwo nie wpuściło robotników na teren fabryki, by umożliwić im ponowny strajk okupacyjny. Negocjatorzy związkowi przedstawili spór Radzie Przemysłu Motoryzacyjnego, aby rozpocząć proces arbitrażu w Sądzie Przemysłowym. Rada Przemysłowa uznała

zasadność tej decyzji i poleciła zainteresowanym określić warunki odwoływania się do sądu.

Komitet strajkowy zwołał kolejne zebranie na piątek 7 listopada, aby przedyskutować dalszą strategię działania. Przybyło na nie ponad 1000 robotników. Powtórzono poprzednie żądania i dodano kolejne, domagające się pod groźbą kontynuowania strajku przyjęcia z powrotem do pracy 567 zwolnionych. Demonstrując solidarność ze zwolnionymi uczestnikami strajku, jeden ze starszych, kolorowych pracowników oddał swój znaczek identyfikacyjny i poprosił innych, żeby zrobili to samo. Oświadczył przy tym, że ci którzy nie przerwą pracy będą winni śmierci jego dzieci. Z okrzykiem: *Krzywdza jednego z nas jest krzywdą nas wszystkich!* robotnicy zaczęli oddawać swoje karty pracy i zasypali podium gradem znaczków identyfikacyjnych. Setki strajkujących zaczęły tańczyć *toy-toy*, śpiewając pieśni związkowe i niepodległościowe. Wysłuchano propozycję, żeby pracownicy obu zakładów spotkali się w Kempston Road w poniedziałek 10 listopada, weszli na teren fabryki i podjęli na nowo strajk okupacyjny. Tylko dwóch robotników głosiło przeciwko temu planowi.

Na spotkanie przybyli przedstawiciele Kongresu Młodzieży Port Elizabeth, Organizacji Kobiecjej Port Elizabeth i grup reprezentujących północne dzielnice miasta (obozarów zamieszkałych przez ludność kolorową). Organizacje te stanowiły trzon Grupy Poparcia dla GM (GM Support Group), mającej za zadanie propagowanie strajku we wspomnianych środowiskach oraz zbieranie funduszy na jego poparcie. Ponadto zorganizowano nieformalne struktury, by strajkujący robotnicy mogli spotykać się we własnym środowisku, wymieniać informacje, pomagać sobie nawzajem. Wysiłki te miały szczególne znaczenie na obszarach północnych, gdzie masowym organizacjom nie udało się przed wprowadzeniem drugiego stanu wyjątkowego wytworzyć żadnych powozecznie akceptowanych struktur. Jedynie MACWUSA, jako związek domowy, stanowił gotowy pomost pomiędzy fabryką a społeczeństwem.

W czasie weekendu kierownictwo firmy oznajmiło, że od poniedziałku zakład będzie zamknięty. Wskazało również na fakt, że strajk odbija się na losach nowego modelu samochodu: GM tracił dziennie przynajmniej 60 pojazdów typu *Monza* i rozważał konieczność wstrzymania produkcji.

W poniedziałek 10 listopada rano ponad 1000 strajkujących robotników chciało zgodzić z wcześniejszym postanowieniem powrócić do fabryki, lecz wejście na teren zakładu było zamknięte. Na miejscu znajdowało się niewielki kontyngent SAP. Po kilku godzinach strajkujący rozeszli się. W międzyczasie przedstawiciele robotników i funkcjonariusze związku spotkali się z kierownictwem fabryki, które jasno określiło swoje stanowisko. GM nadal popierał projekt podania żądań robotników pod arbitraż. Co więcej, skłonny był rozpatrzyć status zwolnionych pracowników, lecz jedynie w przypadku przerwa-

nia strajku i rozpoczęcia produkcji. Komitet strajkowy obiecał zreferować poglądy zarządu na spotkaniu z robotnikami.

Następnego ranka ponad 1000 robotników zebrało się ponownie przed wejściem do fabryki, lecz decyzją przedsiębiorstwa pozostało ono zamknięte, aż do czasu formalnego oświadczenia związku o gotowości wznowienia pracy. Na zebraniu tego samego dnia strajkujący powtórzyli swoje żądania z poprzedniego piątku: zakończą oni strajk, jeśli kierownictwo ponownie przyjmie do pracy 567 zwolnionych robotników. Poza tym poinformowali oni zgromadzonych o kampanii mającej przekonać przedsiębiorstwo w zatrudnianiu łami-
strajków.

Tego samego dnia komitet strajkowy ponownie spotkał się z zarządem, aby przekazać wynik robotniczego meetingu. Otóż robotnicy powrócą do pracy, jeśli firma pozwoli na ten powrót wczątka, nie wyłączając 567 zwolnionych. Kierownictwo jednak nie zamierzało negocjować kwestii ponownego przyjęcia usuniętych pracowników, zanim strajk nie zostanie zakończony. Ponadto zarząd GM oświadczył, że zamierza rozpocząć produkcję w poniedziałek, 17 listopada i uzna, że robotnicy którzy nie stawiają się do pracy, tym samym zdecydowały o swoim zwolnieniu. To spotkanie trwało zaledwie dwadzieścia minut. Dyskusja utknęła w martwym punkcie, a dzień obrachunku przybliżył się.

Tak więc nastąpił dramatyczny przełom w strategii przedsiębiorstwa. Aż do poprzedniego dnia kierownictwo miało nadzieję na szybkie zakończenie strajku i obicywało dyskusję nad postulatami robotników zaraz po tym fakcie. Lecz gdy tylko strajkujący określili swoje stanowisko, GM przystąpiło do łamania strajku. Następnego dnia rano "Eastern Province Herald" zamieścił obszernie oświadczenie, podpisane przez Stegmana. Oznajmiło ono, że najważniejsi członkowie zarządu nie zamierzają zmienić warunków zatrudniania siły roboczej. *Pracownicy filii GM, którzy w tej chwili strajkują - przekonywał Stegman - powinni powrócić do pracy, aby uniknąć nie tylko straty wynagrodzenia, lecz i utraty dodatkowych świadczeń oferowanych teraz przez przedsiębiorstwo...*

W tym samym numerze pisma, w artykule omawiającym bieżące wydarzenia Stegman przyjął nową taktykę ataku. Sugerował on, jakoby robotnicy byli zastraszeni i źle poinformowani. Rozwinął ten temat w wywiadzie udzielonym nazajutrz. *Żle się stało - oświadczył reporterowi "Evening Post" - że duża liczba lojalnych pracowników GM została uwikłana w ideologiczne przekonania wybranego przez związek sekretarza generalnego - Saulsa, którego poczynania poddają w wątpliwość jakkolwiek prawdziwą troskę o losy robotników zatrudnionych w GM czy też ich rodzin.*

Przez kolejne dwa dni przedsiębiorstwo zamieszczało w prasie lokalnej obszernie zawiadomienia o naborze pracowników na miejsce 567 zwolnionych w czasie strajku, Record, na s. 16

dakcje miejscowych gazet nadawały rozgłos kampanii rekrutacyjnej i wyrażały otwarte poparcie dla stanowiska przedsiębiorstwa. Firma została obciążona przez setki kandydatów do pracy, w tym wielu białych, którzy tłoczyli się wokół głównego wejścia. Pracownicy kadr podawali formularze podań o pracę przez sztachety ogrodzenia. Przez dwa dni GM otrzymał ponad 700 podań, przyjął 150 pracowników i poprosił pozostałych 550 o przyjście w poniedziałek.

W miarę upływu czasu strajk przestał być dyskusją o wycofaniu kapitału, emigracji i odprawach, a przyjął charakter walki o zatrudnienie.

Strajkujący spotkali się ponownie, aby omówić strategię dalszego działania. W czasie długiego i pełnego napięcia zebrania, do którego doszło 14. listopada, ponad 1000 robotników postanowiło zebrać się w nadchodzący poniedziałek 17. listopada przed główną bramą fabryki, aby domagać się powrotu do pracy wraz ze zwolnionymi wcześniej 567 strajkującymi. Lecz tym razem zarzycywały się wyraźnie i zostały podane do publicznej wiadomości rozbieżności w opiniach i zamierzeniach robotników. Mimo, że nikt nie znał dokładnych danych, wiadcziano, iż wielu strajkujących powróciło już do pracy. Przedsiębiorstwo jasno określiło swoje zamiary wyrzucenia wszystkich tych, którzy nie stawiają się do pracy w następnym tygodniu, kiedy zostanie wznowiona produkcja, i dobitnie wyraziło chęć przyjęcia do pracy nowej siły roboczej. Każdego ranka przed wejściem do fabryki zbierał się tłum bezrobotnych, ciążących się z perspektywy przyjęcia na miejsce strajkujących.

Dyskusja skoncentrowała się na problemie: w jaki sposób robotnicy powinni zareagować na ultimatum kierownictwa. Debata trwała prawie dwie godziny. Zebrani przyjęli do wiadomości, że niektórzy strajkujący powrócili już do pracy, a jeden z uczestników spotkania zaproponował zrobienie listy nazwisk. Inny oświadczył, że poinformował już o zamistrajkach żołnierzy Oliviera Tambo. Niektórzy mówili, że członkowie kierownictwa, odwiedzają ich w domach i namawiają do przerwania protestu. Była także mowa o tych robotnikach, którzy wracali do fabryki wejściem od zaplecza.

Jednak wielu mówców, zwłaszcza kolorowych, dawało świadectwo trudom, jakie znosili strajkujący robotnicy. Jeden z nich opowiedział o pracowniku, któremu wyłączono prąd, ponieważ nie było go stać na zapłacenie rachunku. Inny - słysząc, jak jego żona mówi o bezcelowości strajku - powiedział: *jeśli tak myślisz, to musisz stać wyżej!* Emocje rosły, znowu zaczęto tańczyć *toy-toy*, śpiewano piosenkę ośmieszającą Boba White'a.

Do rozentuzjowanego tłumy zebranych zwróciły się dwie kolorowe kobiety. Pierwsza powiedziała, że nie ma męża, który by ją utrzymywał i że nie będzie mogła wyżywić rodziny, jeśli straci pracę. Dodała, że ludzie którzy wrócili do pracy otrzymują regularne wypłaty i tak czy inaczej okorzy-

tają z osiągniętych w wyniku strajku świadczeń. - *W poniedziałek wracam do fabryki, nie mogę dłużej cierpieć, nie mogę zostać z wiewkami.*

Jej koleżanka wypowiedziała się jeszcze ostrzej. Brała udział w strajku, lecz w ciągu ostatnich dni widziała zbyt wielu ludzi, którzy co innego mówili, a co innego robili. Obszcrowali oni, jaki obrót przybierze głosowanie, oddawali swoje głosy, a następnie wychodzili, aby postępować zupełnie odwrotnie. Ci sami ludzie byli wódmie tańczących *toy-toy*, krzyżących *Amandla!* (potęga) i śpiewających najgłośniej. *Decydujcie sobie i myślcie co chcecie* - powiedziała - *w poniedziałek większość ludzi wróci do pracy.*

Następny mówca zaczął swoje wystąpienie głośnym okrzykiem *Amandla!*, odpowiadając tym samym swoim przedmówcom. Powiedział, że robotnicy powinni pilnować, aby nikt nie wszedł na teren fabryki. Mimo, że sam był kolorowy, stwierdził, iż to właśnie kolorowi podchodzili do bramy. *Nie chcę być kolorowy!* - krzychał - *Nie jestem kolorowy!* Postanowiono zebrać się poza terenem fabryki w poniedziałek 17. listopada i ponownie przedstawić swoje postulaty kierownictwu firmy. Miano również przekonać robotników wchodzących na teren zakładu, aby nie rozpoczęli pracy. W długi i gorączkowy przemówieniu Sauls usiłował podkreślić znaczenie decyzji podjętej przez strajkujących. Mówiąc o tych, którzy mieli zamiar przyjąć ultimatum dyrekcji, zapytał: *Jaką mają oni gwarancję, że nie zostaną zwolnieni w grudniu, styczniu czy lutym?...* *Nie macie żadnej gwarancji na przyszłość.*

Po raz pierwszy robotnicy, jeśli tylko byli solidarni i oddani sprawie, mieli szansę zdecydować o tym, co wydarzy się w GM. - *Jeśli nie umiecie walczyć o swoje prawa w GM, to jak możecie walczyć o prawa swoich dzieci czy swoje własne i kraju, w którym żyjecie?* - pytał przywódca związkowy - *Genacza to tylko jedno - że biały człowiek musi was trzymać but na karku przez resztę życia, ponieważ nie macie siły aby się wyzwolić.*

Strajk dotyczył jedynie sprawy sankcji. *Mamy już dość* - powiedział Sauls - *amerykańskich i brytyjskich kompanii, które pojawiają się w tym kraju twierdząc, że chcą pomóc biednym czarnym ludziom, a potem siadają nam na plecy i ujeżdżają gorzej niż Afrykanerzy. GM miał szansę aby przyłączyć się do tego protestu, lecz nie zrobił tego. Ilu czarnych menadżerów jest w General Motors? - zapytał Sauls - *Nie ma żadnego!* - odpowiedzieli zebrani.*

GM uczynił niewiele, by poprzeć interesy czarnych pracowników. Teraz robotnicy żądali od przedsiębiorstwa, żeby się wycofało i zostawiło im fabryki. Sauls przyznał, że nie byłoby oni w stanie kontrolować produkcji. System edukacji Bantu zbyt długo nie dostrzegaliśmy zdolności czarnych obywateli do udziału w życiu gospodarczym kraju. Co więcej, zakaz zręczania się zniweczył wysiłki przywódców czarnej klasy pracującej, zwłaszcza SACTU, a robotnicy w

dużej mierze stracili orientację w sprawach politycznych. Lecz Sauls zapowiedział, że akcja strajkowa była krokiem naprzód do stanowiska przez robotników o ich własnym życiu. *W dniu w którym przejalimy kontrolę nad tym krajem, robotnicy będą musieli być zdolni do objęcia władzy nad fabrykami. Do tego dążymy.*

W poniedziałek 17. listopada od 300 do 500 strajkujących zebrało się przed fabryką, aby zapobiec zgłaszaniu się niezrzeszonych w związku robotników do pracy. Niektórzy z robotników puili w twarz zamistrajkom i zrywali im znaczki identyfikacyjne. Duży kontyngent sił SAP i SADF użył pałów i pałczy do rozproszenia tłumy. Niektórzy ze strajkujących zostali zabrani do szpitala: 16 zatrzymano i odprowadzono do aresztu. Tego wieczora kierownictwo ogłosiło, że jedna trzecia strajkujących wróciła do pracy.

Jeszcze tego samego dnia postawiono robotnikom ultimatum, żądając, by do 9-tej rano wszyscy stawili się na stanowiska pracy, jeśli nie chcą być zwolnieni. Pod koniec dnia pracy we wtorek 18. listopada dyrekcja oznajmiła, że około 83% pracowników znalazła się na swoich stanowiskach, włączając w to liczbę niektórych z 567 usuniętych robotników i tych, których dopiero przyjęto. Ekwipunek na zebraniu strajkowym tego dnia spadł gwałtownie do około 300-400 robotników.

Dalsze komunikaty dyrekcji donosiły, że coraz więcej pracowników powraca do fabryki, a produkcja zbliża się do normalnego poziomu. Powinno, że przedsiębiorstwo miało zakończoną sprawę w Sądzie Pracy, a postulaty obu stron były złożone do arbitrażu, strajk został w zasadzie zerwany. Jedyna siła, którą dysponowali robotnicy, opisana przez Saulsa jako ich jedność i oddanie sprawie, została zniweczona przez szarżę policji. Tylko około 400-500 robotników, głównie afrykańskich, uczepczono naładowa na zebrania strajkowe, rozpraw w sądzie ciągnęły się do 1987 roku, lecz nadzieja, że robotnicy wpłyną na warunki wycofania kapitału przez GM, została zaprzeczona.

Tak więc w omawianym okresie niestabilności politycznej i ekonomicznej ani robotnicy, ani zarząd przedsiębiorstwa nie byli przygotowani do wypracowania wspólnego stanowiska w tak drażliwej kwestii. Tłumiąc strajk i działania związku GM uwiaryłowili się robotnicy akurat w momencie, kiedy nowy zarząd zamierzał rozpocząć restrukturyzację przedsiębiorstwa. Związek wyślął o strajku w kontekście długotrwałego procesu reorganizacji firmy. Decyzja o kontynuacji akcji strajkowej po tym, jak kierownictwo zakładu postawiło stanowcze ultimatum, była drogą opłaconą błędem. Setki robotników straciły pracę, ich postulaty zostały odrzucone, a szeregi przywódców związkowych - zdziśnięte.

Glenn Adler
(Wydział Nauk Politycznych
Uniwersytet Columbia)
tłum. G.K.

ZWIĄZKOWY BIAŁY DOM

rozmowa Piotra Skurowskiego i Tomasza Zyro

z Mackiem Zalewskim

P.S. - Jesienią 1988 roku pojechał do Stanów Zjednoczonych na zaproszenie związków zawodowych. Jaki był cel twojej wizyty?

M.Z. - To miał być pobyt edukacyjny. Chodziło o to, żeby zobaczyć, że związki nie są tylko od rzucania kamieniami, robienia strajków i działalności politycznej, ale jest to określona forma zorganizowania społecznego, która funkcjonuje w ramach normalnej gospodarki, boryka się z tysiącami kłopotów, które polegają nie na tym, że jest się nielegalnym, ale właśnie na tym, że jest się legalnym, że się pracuje w ramach jakiegoś szerszego porządku demokratycznego i systemu prawnego, który narzuca zapewne jeszcze twardsze rygory.

Zwiedzałem m.in. Ośrodek Badań Związkowych AFL-CIO (American Federation of Labor - Congress of Industrial Organizations). Ośrodek jest współfinansowany przez związek, Uniwersytet Miejski w Nowym Jorku i osoby prywatne, bo związki zawodowe to równocześnie elita miasta, elita władzy, część establishmentu. Na przyjęciach związkowych widuje się działaczy, milionerów, biznesmenów, polityków. Przy kontakcie z centralą związkową odnosi się takie same wrażenie jak przy kontakcie z jakkolwiek agendą rządową. To tak samo jak Department Stanu. Może łatwiej jest wejść, ale też musisz wiedzieć, do kogo idziesz i po co, i musisz być umówiony. To jest związkowy Biały Dom.

P.S. - I to jest chyba coś, co - jak myślic - może w jakiejś mierze oszkodzić związkom w opinii publicznej.

M.Z. - Opinie na temat związków są różne. W takiej opinii populistycznej i w obrazie kształtowanym przez masmedia związki zawodowe to grupy partykularnego interesu. Są opiewane przez różne grupy nacisku, a zwłaszczą przez mniejszości narodowe. Działalność związkowa jest domeną pewnych nacji.

P.S. - No właśnie, jakie to nacje?

M.Z. - Włosi, Irlandczycy, Żydzi, no i Murzyni, ale raczej jako nasza niż jako elita przywódcza.

Byłem gościem 37 District Council. Przypominając do polskich warunków, jest to jakby region nowojorski Związku Pracowników Muncy-palnych, stanowych etc. Sekretarzem dystryktu jest Włoch, sekretarzem generalnym - Murzyn z najbliższego otoczenia Jesse Jacks-ona. Wykorzystywał związek jako zaplecze wyborcze dla Jesse Jacks-ona, ale nie potrafił zorganizować realnego poparcia, ponieważ Włosi, którzy tam dominują, bojkotowali kapiację. Oni w ogóle bojkotują demokratów.

P.S. - Ciekawe dlaczego?

M.Z. - Dla Włochów amerykański dług narodowy nie nic znaczy. Rozumują tak: dobrze, że Japończycy tutaj inwestują pieniądze. Czy się martwić? Przecież nie zamkną Ameryki, nie będzie bankructwa tego kraju. Jest to zupełnie odwrócenie optyki.

Reagan był absolutnie komunikatywny dla ludzi, aczkolwiek wywoływał popłoch wśród ekspertów, ekonomistów, speców od organizowania życia publicznego. On się doskonale komunikował ze społeczeństwem.

Demokraci mieli robić kampanię Dukakiewiczowi i formalnie robili, ale zupełnie bez ognia, bez przekonania i bez wiary. Nie był to oczywiście czynnik, który zdecydował o porażce Dukakiewa, ale widać było na tym przykładzie, że w gruncie rzeczy nie ma sensownego kontrprogramu.

P.S. - Tak, ale od dłuższego czasu mówi się, że utworzona jeszcze przez F.D. Roosevelta Wielka Koalicja (Big Coalition), do której weszli m.in. Philip Murray, szef CIO - związku, który opanował kluczowe gałęzie przemysłu masowego (przemysł samochodowy, gumowy, hutniczy) właściwie rozpadła się i to głównie za czasów prezydentury Reagana.

T.Z. - Już za czasów Trumana CIO została pozbawiona wpływu na kampanię wyborczą. To był jeden z powodów późniejszej fuzji dwóch centrali: AFL i CIO. Bazą CIO (Kongresu Organizacji Przemysłowych) był przemysł ciężki. U początków istnienia udało im się opanować dwa wielkie koncerny US Steel Corporation (dawniej własność A. Carnegiego) oraz General Motors. Potem inne firmy (np. Ford) musiały się zgodzić na wejście związku do ich fabryk. To był jeden kierunek uderzenia. Drugim było poparcie dla F.D. Roosevelta. Lata trzydzieste to okres rozkwitu CIO. Ameryka po Wielkim Kryzysie była krajem wielkich możliwości dla rozwoju ruchu związkowego.

P.S. - Zresztą ten stan trwał do końca II wojny światowej. Obydwie wojny były czasem zawieszania broni w walce pomiędzy pracodawcami a ruchem związkowym.

T.Z. - W 1948 r. CIO sformułował program polityczny popierający F.D. Roosevelta. Za prezydentury Trumana koalicja się rozpadła, ale związek starał się powrócić do establishmentu. W latach pięćdziesiątych dwie wielkie centrale połączyły się. Przewodniczącym został George Meany. Pozytywnie przetargowa elita władzy w związku ogromnie się wzmocniła.

Interesuje mnie, jaką rolę polityczną w tej chwili przyjmują związki zawodowe?

M.Z. - Związki tradycyjnie popierają demokratów, a demokraci tradycyjnie popierają związki. Nie mówię oczywiście o doktrynie, ale o praktyce. Z jednej strony szereg związków (jak np. górniczy - Mine Workers) nie wstąpiła do CIO z powodów politycznych. Jest to bowiem centrala, która realizuje w polu polityki międzynarodowej program nie odpowiadający związkom lewicującym. Trwa wieczny spór właśnie o politykę międzynarodową. Związki niezrzeszone to pierzochy typ enklawy niezależnej działalności. Drugi typ - to małe pola autonomii na poziomie podstawowej organizacji związkowej.

Nożę koszułkę z napisem: Związek czyni nas mocnymi. Jest to koszułka organizacji związkowej, która skupia pracowników municypalnych. Związek jest enklawą klasycznego lewicowca i dlatego nie wchodzi do regionu, ale przez to jest izolowany, nie ma właściwie żadnego znaczenia. Cały aparat związkowy jest skazany de facto na pracę wyłącznie z bezdomnymi. Zresztą bezdomni to teraz chyba największy i b. widoczny problem Ameryki, ponieważ 9% bezdomnych to Murzyni. Nie widziałem białych bezdomnych, może dlatego, że poruszałem się tylko po wybrzeżu i tam, gdzie Murzynów jest najwięcej.

P.S. - Jest to po prostu problem wielkich miast skupionych przede wszystkim na wybrzeżu. Mówię głównie o Wschodnim wybrzeżu, czy podróżować również na południe? Tam sytuacja związkowa przedstawia się chyba inaczej. Tradycyjną bazą związków jest Południowy Wschód. Natomiast na Południu i Zachodzie, łącznie z Kalifornią, tam, dokąd przemierza się centrum gospodarcze Ameryki o związkach zawodowych mówi się coraz mniej.

M.Z. - Zwiedzałem tylko miejsca tradycyjnie silne pod względem ruchu związkowego. Byłem np. w Pensylwanii, w najstarszym zagłębiu górnictwa. Pittsburgh to klasyczne związkowe miasto. Zwiedzałem tam kopalnię i rozmawiałem z zakładową organizacją związkową. Nie jest to organizacja wojownicza, ponieważ tam nie ma generalnie konfliktów między związkami a pracodawcą. To jest zresztą prywatna kopalnia.

T.Z. - Czy przypadkiem nie chciałoby takiego konfliktu?

M.Z. - Związkowcy nie chcieliby w gruncie rzeczy takiego konfliktu. Wzrosty muszą się starać o to, żeby ta kopalnia przynosiła zysk. Kiedy przestanie przynosić zysk, to ją po prostu zamkną. Poza tym cały zarząd kopalni składa się z dzieci górników. Elita, która administruje kopalnią, jest elitą

otwartą. Szef związku jest przyjacielom i sąsiadom dyrektora kopalni. Ich ojcowie pracowali razem w tej kopalni. Oni razem zaczęli się edukować. Jeden wykazał się na dyrektora, drugi na przywódcę związku.

Tu otwartego, ostrego konfliktu być nie może, bo obie strony wiedzą doskonale, co to jest praca pod ziemią. Przy naszym otoliku górniczym najczęściej pojawiał się zarzut o to, że u nas nie szanuje się ludzi, traktuje się ich jak bydło. Tam taki układ jest niemożliwy. Nie opłaca się po prostu. Tam nie panują wypadki w kopalni. Ostatni był w 1963 roku. Obraz polskich kopalni jest taki: półmagie, złane potem, obsypane pyłem węglowym postacie fedrują na przodku. Jest ciemno, duszno i gorąco. Tam jest inaczej. Jest zimno i nie ma pyłu, bo podstawową sprawą, zanim się przystąpi do eksploatacji, jest wydech, zapewnienie ciągłego przepływu powietrza.

T.Z. - Dlatego u nas tak dużo jest samozapaleń. W rabunkowej gospodarce nie zapewnia się otoczenia technicznego, tylko wpuszcza się ludzi jak niewolników, żeby pracowali z szaloną wydajnością.

P.S. - To jest obraz najbardziej wyniszczającej kapitalistycznej eksploatacji człowieka. Ale stworzenie takich warunków pracy, jakie Maciek widział w Pensylwanii, musi być bardzo kosztowne.

T.Z. - To jest tylko pozornie kosztowne. Na dłuższą metę inwestycje zabezpieczające wydobywanie są tańsze niżeli chociażby odškodowania.

P.S. - Faktem jest jednak, że w Ameryce zanyma się wiele kopalń, bo koszty wydobywania przewyższają zyski.

M.Z. - Kopalnia, w której byłem, wydobywa około miliona ton węgla rocznie przy zatrudnieniu 150 osób, w tym 30 osób nadzoru (dyrekcja, sekretarki, strażnicy itd.) Reszta to górniey. Tych 150 osób wydobywa ponad milion ton węgla nadającego się do sprzedaży. Kopalnia jest równocześnie zakładem, który przygotowuje węgiel. Koszt jednej tony wydobytej i przygotowanej do sprzedaży wynosi 24\$. Cena sprzedaży wynosi 30\$. Kopalnia przynosi rocznie około 10 mln \$ dochodu. Nie jest to wielki zysk, ale kopalnie nie są dotowane. Oczywiście kapitał uwieczony w kopalnictwie jest wielki i leniwy. Bardzo opłacalny jest import. Po pierwsze dlatego, że nie niszczy się Ameryki. Po drugie - dlatego, że górniey są wspaniale opłacani pracownikami. Dobrze uposażony profesor uniwersytetu zarabia 65 000 \$ rocznie. To bardzo dobra pensja. A górnik - kopacz dostaje tyle samo, na wolne dni i - jak się wydaje - bezpieczną pracę. Byłem w tej kopalni na dole, na samym przodku. Ci górniey w ogóle nie nie kopią, wyłącznie obsługują maszynę. Jest oczywiście taki moment ryzyka, kiedy po wykopaniu jakichś trzech metrów trzeba wzmoocnić stropy. Górnik musi wtedy

podejść bliżej z maszyną, taką jakby pajęczyną świdrow, które wiercą we wszystkie kierunki jednocześnie. Ale - jak mówiłem - ostatni wypadek zdarzył się tam w 1963 roku. Nie sądzę, że była to kopalnia pokazowa. Tam funkcjonuje stały mechanizm w stosunku do wszystkich kopalni. Jeśli w twojej kopalni jest niebezpieczniej, płacisz także odškodowania, że przostaje ci się opłacać i musisz kopalnię zamknąć.

T.Z. - Pensylwania to spocyficzny region. Te kopalnie przeszły przez XIX wieczną fazę agresywnego kapitalizmu, przez strajki związane z Molly Maguirem, syndykalistyczną organizacją górników pochodzenia irlandzkiego (lata 60-te XIX w.). Droga była długa i bolesna, ale teraz stosunki między związkami a pracodawcami są ustabilizowane, powstała tradycja rozwiązywania konfliktów. Jak jest natomiast w nowych dziedzinach gospodarki, ówczesnych gałęziach przemysłu, tam, gdzie tę tradycję trzeba dopiero tworzyć? Czy ten układ związków - pracodawca nie jest bardziej agresywny?

P.S. - Nawiążę do tego. Czy nie jest tak przypadkiem, że związki obsługujące stare dziedziny przemysłu w jakiejś mierze padły ofiarą własnej doskonałości organizacyjnej, doskonałości w wynagajowaniu sobie warunków życiowych, w sytuacji ogólnie pogarszającej się w tych branżach? Czy wobec tego nowe związki, które powstają w nowych formach gospodarki zdają sobie sprawę z tego, że muszą obrać inną taktykę?

T.Z. - I czy potrafią usadowić się w tych nowych przemyśłach? Przecież nowoczesne przedsiębiorstwa to małe zakłady dostosowane do szybkich zmian profilu produkcji bez kosztownych inwestycji. Pracownikom tej tzw. *flexible economy* nawet nie opłaca się wstępować do związków.

P.S. - To dotyczy ostatnio również wielkich firm japońskich, otwieranych w USA (np. w przemyśle samochodowym).

M.Z. - Związek wprowadził do życia gospodarczego reguły, które teraz unicestwiają mu usadowienie się w nowych dziedzinach przemysłu. W tych nowych gałęziach liczy się przede wszystkim kompetencja człowieka, który szuka zatrudnienia, człowieka, którego szuka pracodawca. A przecież podstawą profitu związkowego jest zapewnienie miejsca pracy związkowcom. Jesteś na liście pracowników. Jeśli cię zwalniają, dostajesz zasiłek i czekasz w kolejce. Możesz być głupi, jak nogi od okrągłego stołu, ale jesteś w kolejce przede mną. Nawet jeśli jesteś Einstejnem, nie masz żadnych szans. W tym mechanizmie nie ma mowy o jakiegokolwiek celceji pozytywnej. Przeciwnie buntuje się logika nowej gospodarki. Związki tworzą azyl, oferę bezpieczeństwa, ale równocześnie wprowadzają de facto przymus bycia związkowcem tam, gdzie związek jest mocny. Nie można być śmieciarzem i nie być w

związku. Jest to reguła tzw. zamkniętego sklepu (*closed shop*). To wplora układ mafijny. Wiadomo na przykład, że śmieciarze to Murzyni i Portorykańczycy.

T.Z. - Poza establishmentem.

M.Z. - Establishment wszędzie jest włoski.

Nowe dziedziny gospodarki wymagają *open shopu*. Związków nie zakłada się, bo ludzie tego nie chcą. Pokazywano kiedyś w Polsce romantyczny film o działaczu, która na Południu, w przemyśle włókienniczym zakłada organizację związkową. Jest to oczywiście obraz literacko-fabularyjny. Walka o związek rozgrywa się na wyższym szczeblu. To cała wielka struktura związkowa jako ciła nacisku wymusza na pewnej branży przyjęcie zasady zamkniętego sklepu. Nie uda się założyć związku od dołu. Pracodawca mając wolną rękę tworzy takie warunki zatrudnienia, że związek staje się anachronizmem rozwiązaniem.

P.S. - Czy to są wyłącznie twoje wnioski, czy też słyszysz podobne opinie wśród samych związkowców?

M.Z. - Oni mają taką świadomość. Może nie działacze związkowi, którzy jest dobrze, którzy należą do wspaniale zorganizowanej, wielkiej, samowystarczającej struktury biurokratycznej.

T.Z. - Samowystarczalne do czasu. Unowocześnienie technologii może zacząć uszczuplać tradycyjną bazę związkową. Zostaną wtedy praktycznie same szopy.

P.S. - Tym bardziej, że związki są przede wszystkim powiązane z produkcją (poza chociażby śmieciarzami, o których była mowa). Jeśli wzmocni pod uwagę, że w ostatnich latach produkcja przemysłowa w Ameryce maleje i chyba będzie maleć nadal, to nowe miejsca pracy pojawiać się będą tylko w usługach i ewentualnie w tych nowych gałęziach przemysłu. Produkcja na wielką skalę staje się w Ameryce przetrzkiem. To zainicjuje perspektywę istnienia związków.

M.Z. - Owozem, Wesbit w *Megatron* opisuje taki proces, w którym nie ma miejsca na związkowość, bo związkowość polega na zbieraniu ludzi do kupy, a aktualna tendencja jest taka, żeby ludzi rozrędkowywać. Najlepiej pracuje się w domu. I najlepiej tworzy się dochód narodowy nie robiąc stali, tylko wymieniając się informacjami. Produkcja może być w gruncie rzeczy ograniczona do wielkiego kompleksu obronnego z jednej strony, z drugiej zaś - do wielkiego kompleksu konsumpcyjnego. To wszystko, co jest tradycyjnym przewyżkiem ciężkim, który pracuje w 90% na rzecz samego siebie (węgiel się kopie, żeby huta mogła robić stal na użytek kopalni itd.) traci rację bytu.

P.S. - To się również wiąże z kosztom produktu finalnego. Dopóki istnieje taka tania produkcja w Europie czy przede wszystkim w Azji klasyczne gałęzi przemysłu

Ameryce nie będą miały racji bytu. Czy jednak Amerykę będzie stać na utrzymanie takiego stanu rzeczy?

M.Z. - Tak będzie zawsze. Potem przyjdzie czas robotów. Amerykanie są okazani na ciągłe bycie w przodzie, na wyściganie tego przodu, kierunku rozwoju. Wracając do porępkowatych związkowości: związki to raz uświatają zbudować taką filozofię nowego unionizmu, filozofię bycia razem, w jakiejś wspólności. W Ameryce nie ma klasycznych partii, ale jest doskonale rozbudowany system organizowania ludzi na poziomie lokalnym, stowarzyszeniowym, klubowym etc. Związki są elementem tego systemu. Najsilniejsza i najdynamiczniej rozwijająca się dziedzina związkowości to ruch emerytów i rencistów. Wielkie domy związkowe to po części domy szczytowej starości, uniwersytety trzeciego wieku itp. Tam się głównie spotyka ludzi, którzy już wypadli z głównego nurtu życia.

T.Z. - To inteligentne rozwiązanie, bo trzeba coś zaproponować ludziom w sytuacji, kiedy górna granica wieku produkcyjnego się obniża (jak np. w Niemczech - do 55 lat), a długość życia z kolei wzrasta.

M.Z. - Jest to krok w dobrym kierunku. Tak władnie - moim zdaniem - można zapewnić związkom, jako pewnym skupieniom społecznym, przyszłość. A więc: nie walczyć o to i nie wpływać na to, co jest głównym nurtem życia ekonomicznego i politycznego kraju, ale tworzyć bardzo potrzebne ludziom wypadającym z tego nurtu miejsca, gdzie jest się razem i gdzie jest coś do zrobienia.

T.Z. - Można tu przywołać kontakt polski. Ameryki traktowali OPZZ jako formę podtrzymywania więzi społecznej. Dotychczas mieli bowiem tylko ZBoWiD i kolejki w oklepach.

M.Z. - Z drugiej strony związki w Ameryce stanowią poduszkę ochronną dla tych, którzy dopiero wchodzi w główny nurt życia, dla imigrantów, dla analfabetów. Zwiększając dział edukacyjny widziałem rzesze słodkich facetów, którzy świetnie mówią po angielsku, ale pisać w ogóle nie potrafią. To był szok.

P.S. - Oficjalne statystyki zupełnie tego problemu nie wyłapują.

M.Z. - To wyłapuje pracodawca, niechętnie. Inaczej się tego nie ujawni. W Ameryce masz kartę kredytową, musisz się tylko podpisać, a czasem i to nie.

T.Z. - Myślę, że w ogóle nowe zaawansowane technologie sprzyjają zjawisku wtórnego analfabetyzmu.

P.S. - Kiedyś mówiło się o tym zjawisku jako opecyficzna dla Ameryki. W tch chwili, jeśli chodzi o Europę Zachodnią, sytuacja jest porównywalna.

M.Z. - Zatem druga istotna sfera działalności związków, to dział edukacji: nauka języka angielskiego, przekwalifikowywanie się, pod-

noszenie kwalifikacji itd. Związek pomaga się kształcić, daje na to pieniądze, udziela pożyczki. To jest ważne.

P.S. - Zwłaszcza, kiedy zanika się wiele zakładów i ludzie muszą znaleźć zawody.

T.Z. - I także dlatego, że ten typ działalności zwraca się również w stronę nowych agresywnych aniołszodoci. To są ludzie niedouczeni, bez dostatecznej znajomości języka angielskiego, a trzeba ich jakoś wtłoczyć w system. Związki muszą prowadzić politykę etniczną. Pod koniec XIX wieku amerykański ruch związkowy tępil ostro imigrantów, ale potem okazało się że stanowią oni doskonały materiał na bazę ruchu związkowego.

M.Z. - Imigracja to poza tym wieczny rezerwuwar odbudowywania drabiny społecznej od dołu. Ciągłe jest możliwość awansu, bo ciągle napływają ci, którzy zapelniają doły. Społeczeństwo jest mobilne, bo wciąż pojawiają się ci gorsi.

P.S. - Czy to twoje doświadczenie amerykańskie mógłbyś jakoś odnieść do polskich warunków? Czy widzisz jakieś pomysły, rozwiązania, które warto byłoby przyszczerpić? Sytuacja ruchu związkowego w Stanach Zjednoczonych - z tego co mówisz - nie wygląda zbyt wesoło.

M.Z. - Ta sytuacja może nie jest wesoła. W każdej razie trudno mówić o perspektywie nieograniczonego rozwoju ruchu. Ale trzeba pamiętać, że związki mają tam otąkę miejsce w strukturze państwa. Są potrzebne rządowi i wielkiej grupie wpływów, jaką stanowią w Ameryce intelektualności. Wschodnie Wybrzeże i cała mentalność liberalizmu amerykańskiego (nie w sensie liberalizmu gospodarczego, ale w sensie postawy politycznej) tworzy niechętnie prężne i trwałe zaplecze dla związku na tym poziomie niewymagalnym, aczkolwiek bardzo ważnym. Ma to swoje uzasadnienie ideologiczne. Równocześnie związki są silne w sferach funkcjonowania państwa, które są wieczne (urzędy, bankowość, więzienia, transport miejski, śmieciarze, muzea, biblioteki itd.) W tego typu grupach pracujących na społeczeństwa związki mają monopol, są najsilniejsze. Co siódmy związkowiec, to pracownik tej sfery. To jest jakaś perspektywa i to jednocześnie zapewnia spokój społeczny. Gdyby nie monopol związkowy byłoby strajki śmieciarzy. Śmieciarze dostają przyzwolone pieniądze za to, że są śmieciarzami. Związek stara się, by ci ludzie otrzymali jakąś rekompensatę za to, że są na dole. I jeszcze jedno dobrze rokuje związkom: to, że istnieje inny świat, świat, w którym nie ma wolności, nie ma związków jako formy zorganizowania społeczeństwa. Najbardziej rozbudowany i dynamiczny departament w centrali związkowej CIO, to departament spraw międzynarodowych. Szef tego departamentu jest wielkiej klasy politykiem, który prowadzi określoną politykę ręką w rękę z agendami rządowymi Stanów Zjednoczonych, o co zresztą lewica

związkowa ma wieczne pretensje do AFL-CIO. Zewnętrzna funkcja centrali da się sprowadzić do funkcji antykomunistycznej. W uproszczeniu: dobra jest "S" w Polaco, a walczące związki zawodowe w Chile czy RPA nie są dobre.

Każdy duży związek, który foderuje się w ramach AFL-CIO ma swoją autonomię i politykę, i własny dział kontaktów z zagranicą. Są w Ameryce związki, które wspierają Nikaraguę, ich przedstawiciele jedźdzą do Moskwy i spotykają się z oficjalnymi związkowcami, a nie opotykają się z tyami, którzy zakładają wolne związki czy walczą o prawa człowieka. AFL-CIO zachowuje się odwrotnie. Nie utrzymuje żadnych kontaktów z Sowietami i równocześnie gwarantuje, że żaden związkowiec radziecki nie dostanie wizy amerykańskiej. To jest zakłócone na szczeblu departamentu stanu. Dopiero teraz powstają wyłomy w tej polityce, dlatego że picierostrojka jest jednak jakąś szansą. Ludzie w to wierzą.

P.S. - A jakie są konkretnie reakcje na "S"?

M.Z. - Te reakcje trzeba widzieć w 2 planach. Po pierwsze w planie pewnej irracjonalności politycznej. Popierają nas wszyscy, lewica i prawica. Polska istnieje jako oprawa dla świata poprzez "S", Wałkę. To jest fakt. Pierwszy raz byłam poza Europą i nie do końca zdawałam sobie sprawę z tego, że dla reszty świata Polski nie ma. Nie ma takiego problemu. Nikogo to nie interesuje. Polska interesuje kogokolwiek tylko o tyle, o ile potrafi artykułować problem zacierzhu komunizmu i o ile potrafi ten problem rozwiązać. Poza tym jesteśmy jedynie państwem historycznym i trzeba mieć tego jasną świadomość. W ogóle Europa bez zjednoczenia jest kontynentem historycznym, bo jest gdzieś z boku. Tam się jedźdzą na wakacje.

Dopiero Europa zjednoczona będzie problemem dla Ameryki, wyzwaniem w okali światowej. I jesteśmy za zjednoczoną Europą. Chcemy także mieć w tym swój udział - my jako baza surowcowo-ludzka dla zjednoczonej Europy; my jako taka Europa B, ale w zjednoczeniu. Inaczej nie mamy żadnej szansy. Z oczywistych względów takim rozważaniem dla wszystkich jest także ZSRR i Chiny - gdzie koda bliżej. Europej przez naturalne względy historyczne bardzo blisko do ZSRR. Japończykom pewnie jeszcze bliżej ze względów kapitałowo-technologiczno-politycznych. W tej chwili walka toczy się o to, gdzie się można jeszcze rozlać, nie w sensie militarnym ale gospodarczym. Świat jest mały.

T.Z. - Kapitał potrzebuje ujścia.

M.Z. - Kiedy świat zostanie już do końca podzielony trzeba będzie, wymyślić coś nowego, jakiś kończyc. To znów oczywiście, jest filozofia dla ubogich, ale coś w tym jest. I o tym się człowiek tam dowiaduje.

Cały problem komunizmu w tej optyce staje się problemem naprawiania tego, co się popsuko po ed. na s. 20

cd. ze strony 5
ciwiłtowach: silna władza centralna - uprawienia stanów, finanse i przemysł - rolnictwo, Północ - Południe, rządy elity - demokracja, orientacja pro-brytyjska - sympatie pro-francuskie, nie były tak czyste i pozbawione wyjątków.

I tak np. farsorzy południowego stanu Delaware, przez cały omawiany okres popierali federalistów, którzy początkowo cieszyli się nawet pewnymi wpływami w Marylandzie, obu Karolinach i Virginii. Z kolei kręgi kupiecko-finansowe Baltimore i Wilmington związane były z republikanami. Nie uwzględniona w dotychczasowych rozważaniach dość liczna grupa robotników i rzemieślników niejaskiich udzielała w latach 90-ych XVIII wieku poparcia programowi Hamiltona i federalistom, mimo ich elitaryzmu. Dopiero około 1800 roku Towarzystwo Demokratyczne doprowadziło do zerwania więzów robotników ze stanów środkowych i północno-wschodnich z federalistami, co w dużym stopniu przyczyniło się do zwycięstwa republikanów w wyborach prezydenckich i kongresowych 1800 roku.

Pewną rolę w opowiedzeniu się za jednym z ugrupowań politycznych odegrały także czynniki religijne. Kongregacjonalistami dominowali na północnym-wschodzie, ich kościoły silnie i aktywnie były powiązane z federalistami. Totóż wszelkie mniejszości wyznaniowe tego regionu (katolicy, baptyści, metodysty) zwracały się ku republikanom. Natomiast metodyści i stare rodziny katolickie na półwyspie między zatokami Delaware i Chesapeake popierały federalistów.

Można także zauważyć pewien etniczny wzorec głosowania wśród grup nie-angielskich. Szkoci i Holendrzy stanowili w zasadzie elektorat federalistów; Irlandczycy, Francuzi i Żydzi - zdecydowanie republikanów.

Już u zarania państwowości amerykańskiej powstał zasadniczy dla demokracji parlamentarnej mechanizm wykształcania się ugrupowań politycznych, które z czasem przybrały postać partii. Stronictwa amerykańskie do dziś nie obrały kształtu organizacyjnego partii europejskich, posiadających ściągłą, wyraziście strukturę, permanentnie działającą centralę i listy członkowskie. Partia amerykańska ma charakter bardziej pragmatyczny, reorganizuje się na czas kampanii wyborczej. Wtedy też najpełniej określa swój program. U schyłku XVIII w. w młodym państwie powstały dwa ugrupowania polityczne: federalistów i republikanów, wyrażające przeciwnie interesy społeczne, ideologiczne i reprezentujące odmienne orientacje międzynarodowe. Dwupartyjna struktura wkrótce zdominowała życie publiczne Stanów Zjednoczonych (podobnie zresztą jak Wielkiej Brytanii, skąd w dużej mierze czerpała wzory amerykańska kultura polityczna). Utrwalił się także obyczaj wyłaniania o walce politycznej jako rywalizacji dwóch głównych organizacji partyjnych w kampanii o miejsce w władzach lokalnych, Kongresie i o fotel prezydencki.

Mariusz Zwoliński

drodze. Nic stanowi naprawdę żadnego wyzwania przyszłościowego. Walka z komunizmem nie wyznacza żadnej perspektywy. To tylko pomaga sarnotrwać siły. "S" była tak interesująca, ponieważ przekształcała dotychczasowy sposób widzenia świata. Była spojrzem do przodu. Nawet jeśli się nie udało, był to wielki eksperyment.

T.Z. - "S" nadal jest patrzem do przodu.

M.Z. - Jest. I dlatego główna nasza teza, której należy bronić jak tarczy oka jest taka, że "S" to na razie jedyna społecznie praktykowana forma wychodzenia z komunizmu. Nic innego Amerykanów nie interesuje. Nic interesuje ich walka z władzą, z totalitaryzmem, ale zdolność przekształcania go.

T.Z. - Ciekawe jest też to, że "S" chce również oprostować wyzwaniu technologicznemu. Komunisci natomiast nie zdają sobie sprawy z tego, czym jest szok technologiczny obecnie. To przecież dookonałe było widać w rozmowie Miodowicza z Wałęsą. Wałęsa mówił o tym, co nas spotka w XXI wieku, a Miodowicz pozostawał cały czas na poziomie związkowca XIX-wiecznego. Tymczasem my musimy w tej chwili odpowiedzieć na szok informacyjny. W Polsce, poza "S", nie ma właściwie sił progresywnych, zdolnych podjąć to wyzwanie. Nic ma w ogóle wizji XXI wieku.

M.Z. - Wracam jeszcze do tego, że "S" nikogo nie interesuje jako siła destrukcyjna, siła, która uderza w państwo czy nieczyzy jakiś taki ład w stosunkach Zachód-Wschód. Dlaczego jest takie poparcie dla pierściojki i personalnie dla Gorbaczowa? To poparcie bierze się ze strachu. Tak naprawdę nie bano się scentralizowanego monolitu Wschodu, który był trzymany żelazną ręką jakiegoś starca z Kremia. Starzec oczywiście mógł być wariatem i mógł nacisnąć ten guzik, ale w rzeczywistości nikt w to nie wierzył. Totalitaryzm nawet wówczas, kiedy jest agresywny, zajmuje Afganistan, Nikaraguę, jest obliczalny, ponieważ ma centrum decyzyjne. Wiadomo, że nie wywoła III wojny światowej, bo nikt na tym nie wygra. To obliczono dokładnie. Całe poruszenie wokół wojny atomowej było wzięciem straszaniem ludzi w wiadomy celu. Strategicznie oczywiście wojna nie wchodziła w grę. Ale co się dzieje wtedy kiedy wielki system totalitarny ulega destrukcji? Po pierwsze - mówiąc popularnie - już nie jeden, ale 50 palców jest blisko tego guzika. A co się stanie w Jugosławii i innych państwach bloku? Totalitarna centrala coraz bardziej chwiejna, gniew coraz większy, a formy zorganizowania społecznego tak słabe.

P.S. - To dotyczy chyba nie tylko Rosji, ale również Chin. Na razie jest tam spokój, ale trudno przewidzieć jak dalej sytuacja się rozwinie.

M.Z. - Chłirczyków ratuje wielki

ład i porządek kulturowy.

T.Z. - Zaufanie do autoritetów.

M.Z. - Tego nie można powiedzieć o Rosji, bo tam typ doświadczenia był taki: jak nie Mongoł to satrapa, jak nie satrapa to kompartia - wszystko jedno.

Totalitaryzm nie jest groźny, kiedy jest silny. Staje się groźny, kiedy się rozpada. To widać gołym okiem. Dlatego: wszystkie ręce do obrony Kraju Rad! Wszyscy muszą za to płacić, żeby ten system nie rozpadł się tak, że się rozpadnie wszystko przy okazji. Ucieczką totalitaryzmu przed rozpadem może być także niekontrolowana, gigantyczna agrocja, właśnie wtedy, kiedy jest słaby.

T.Z. - Wtedy, kiedy jest zdeplorowany.

M.Z. - Oczywiście, bo kiedy jest silny, zajmuje Afganistan i koniecznie na tym. Jest wyrachowanym partnerem. Jeśli dostanie po łapach, może się wycofać. Z reguły nie dostaje po łapach. Jest jednak możliwa kalkulacja.

P.S. - Ma swój sposób rozumowania, który da się odczytać.

M.Z. - A więc "S" nie interesuje nikogo jako siła destrukcyjna. "S" jest interesująca tylko dlatego, że tworzy pewną strukturę przejścia. Jest w oparciu o co dokonywać tego przejścia. Wszystkie pomysły polityczne, które operują kategorią polityczną państwa są na zachodzie natychmiast kupowane - zarówno przez prawicę jak radykalną lewicę. Tam wszyscy operują tą kategorią, żyją w tym porządku. Dlatego trudno im wytknąć narzęcze wątpliwości, które się wiążą z okrągłym stołem. Oni nie chcą słyszeć o tym, że opierają się na słabości zorganizowania się do tak gigantycznego zadania. Nie są błędem negocjacje. Naszym grzechem pierworodnym jest to, że nas nie ma w negocjacjach jako prawdziwie zorganizowanej siły. Bo "S" najlepiej się organizuje - i to wyprzedza stopień zorganizowania społecznego w Polsce - jako siła rozczepiona, siła destrukcyjna w gruncie rzeczy. Konstruktwną formą okupienia "S" miał być samorząd. I nie udało się. Nie tylko dlatego, że władza stawia przed samorządem bariery, ale również dlatego, że ludzie nie bardzo wiedzą co począć z samorządem i nawet nie chcą się tego uczyć.

My jesteśmy interesujący tylko o tyle, o ile umiemy przejsować to państwo, uszczelniać ten proces i pokazywać, jak to można zrobić. Pokazywać, że to nie musi oznaczać totalnego krachu komunizmu i komunistów. Oni też muszą mieć w tym swój udział i swoje miejsce. To jest prawda, której się tam doświadcza w pierwszej kolejności: nie ma takiego kraju jak Polska, nie ma takiego problemu. Jest tylko pewien aspekt ich ciekawości, która się bierze ze strachu.

oprac. A.Z.

TOMASZ ZYRO

O kapitanach przemysłu i baronach-rozbójnikach

Pod koniec 1882 r. do portu w Nowym Jorku wpłynął brytyjski parostatek. Z jego pokładu zszedł mężczyzna w podczepnym wicku o ascetycznej twarzy. Wydatne czoło podkreślała jeszcze spora łysina. Jego wizyta w Stanach Zjednoczonych wywołała ogromne zainteresowanie prasy, świata nauki i biznesu. Wiktoryści nazywali ją epokową. Ten 62-letni przybysz nazywał się Herbert Spencer i został okrzyknięty najwybitniejszym przedstawicielem darwinizmu społecznego. Zrozumiałe wydaje się zainteresowanie intelektualistów. Skąd jednak takie frenetyczne przyjęcie u wielkich gwiazdorów amerykańskiej sceny gospodarczej? Jak wytłumaczyć hołdy wielu koryfeuszów nauki, polityków, tuzów gospodarczych, a także pastorów, które nawet Spencer nie grzeszącego nadmierną skromnością, przyprawiały o zażenowanie?

Trudno w kilku zdaniach streścić myśl Spencera, ten specyficzny produkt XIX wieku - stulecia fascynacji naukami przyrodniczymi i technika. W jego systemie nauki biologiczne przepłatają się ze społecznymi, agnostycyzm ze zmistycznianym racjonalizmem. Zdaniem Spencera darwinowska koncepcja ewolucji można zastosować przy opisie powstania społeczeństwa. W toku walki o byt człowieka z naturą w amorficznej strukturze prymitywnych społeczeństw następuje podział pracy oraz podział funkcji społecznych, prowadząc od chaotycznej jednorodności do uporządkowanej różnorodności. W procesie ewolucji społeczeństwo dzięki dynamice jednostek przechodzi z fazy wojowniczej do fazy przemysłowej. Dobrowolna społeczna kooperacja, której zaczątki tworzy społeczeństwo wojownicze, na dobre dochodzi do głosu dopiero w społeczeństwie przemysłowym. Społeczeństwo fazy wojowniczej, złożone z wzajemnie zwalczających się grup, nastawione jest jedynie na przetrwanie. Kształci swoich członków do prowadzenia wojny, przepaja ich duchem wrogości. Ubczławnienie jednostki wopiera despotyczne państwo, które narzuca wiele przymusowych form kooperacji.

Spencer w swoich *Zasadach Socjologii* (1876) stwierdza wyraźnie, że socjalizm oparty na państwowej produkcji i dystrybucji jest bardzo bliski organizacji społeczeństwa wojowniczego i może nie dopuścić do rozwoju społeczeństwa przemysłowego. Zastocowanie naturalnego prawa selekcji prowadzi do wyodrębnienia w każdej generacji grupy najlepszych, najlepiej przystosowanych. Natomiast w socjalizmie państwo, ingerując w tkankę społeczną, zakłóca ten mechanizm: zdolniejsi są wypierani przez pośledniejszych, którzy potrafią użyć jego potęgi. W konsekwencji tej negatywnej selekcji

społeczeństwo socjalistyczne rychło pozostanie w tyle za społeczeństwem przemysłowym. Najlepiej dobru ogólnemu służą bowiem ludzie powodowani własną korzyścią. Wszelka interwencja państwa w stosunki społeczne przy pomocy socjalnego ustawodawstwa, jest uzurpacją i złudzeniem - konkluduje Spencer w książce *Człowiek wobec państwa*. Jest uzurpacją - bowiem prawodawcy socjalnemu wydaje się, że każda przyczyna rodzi zawsze ten sam skutek (nie zauważa on interferencji powodowanych przez ingerencję w czułą tkankę społeczną); jest złudzeniem - bowiem równość, którą właśnie ma zapewnić ustawodawstwo socjalne, nie istnieje ani w naturze, ani w społeczeństwie.

Stany Zjednoczone po Wojnie Domowej weszły w gorączkowy okres rozwoju przemysłowego, zwany *Wiekami Pożłacenym*. Okres tyleż burzliwy, co chaotyczny w niekontrolowanym wzroście. Konkurencja w czystej postaci - waznienie europejskich liberałów i amerykańskich konserwatystów - świącila triumfy. Klęska Południa oznaczała likwidację ostatniej zapory na drodze do zwycięstwa ducha zdobywania i mentalności przemysłowej. Jednakże wkrótce okazało się, że ten raj dla przedsiębiorczych i zapobiegliwych ma swoje cienie. Z roku na rok powstawały bajeczne fortuny. Wolna konkurencja doprowadziła do powstania molochów przemysłowych. Małe przedsiębiorstwa miały niewielkie szanse w walce z gigantami. Pod koniec XIX w. monopolizacja całych gałęzi przemysłu i transportu stała się faktem. Na scenie gospodarczej pojawiła się i zaplanowała niepodzielnie nowa odmiana baronów-rozbójników, plutokracji amerykańskiej.

Sposób dochodzenia do fortun i styl życia władców poszczególnych dziedzin gospodarki rozpałał wyobraźnię. Milionerzy personifikowali sukces, a pieniądź był głównym świadectwem tego kultu. Triumfowała mentalność zdobywcy i posiadacza. *Evangelia bogactwa* opanowała wyspy. *Bogactwo samo z siebie... jest jedyną siłą* - pouczał William Graham Sumner.

Nic więc dziwnego, iż Amerykanie z takim entuzjazmem przyjęli nauki Spencera. Zbyt dobrze odzwierciedlały optymizm i żądzą sukcesu Amerykanów, aby podstawowe pojęcia spencerowskiej odmiany darwinizmu społecznego (*walka o byt, przetrwanie najlepiej przystosowanych, antagonistyczna kooperacja tzn. konkurencja, naturalna selekcja*) nie opanowały wyobraźni pastorów, naukowców, a nade wszystko biznesmenów. Milioner stał się wzorcem społecznym - jako kapitan przemysłu stanął na czele propagatorów postępu, był motorem rozwoju cywilizacyjnego. Ideał ten utrzymywały w świadomości potocznej powieści (np. Horatio Algiera tworzącego mitologiczny obraz sukcesu: *od pucybuta do milionera*), kazania pastorów, wykłady.

Sukces darwinizmu społecznego w USA był oszałamiający, ale cena jego popularności była wulgaryzacja skomplikowanego systemu Spencera (nie pierwszy to raz idea przetrwania stał się w ruch za cenę haniebnych uproszczeń). Jak pisał Richard Hofstadter w swojej pracy *Social Darwinism in American Thought* (1944): *Odmoszący sukces przedsiębiorcy nicomal instynktownie zaakceptowali terminologię darwinowską, która zdawała się portretować warunki ich egzystencji. Pojęcia spencerowskie przodowały się do języka potocznego. Walka o byt, przetrwanie najlepiej przystosowanych tłumaczyły istnienie monopolu i w tych też terminach milionerzy uzasadniali swoją rolę. John Rockefeller w wykładzie dla szkółki niedzielnej pouczał, że wzrost wielkiego biznesu jest po prostu wynikiem prawa przetrwania najlepszych. Nie można uważać go za złą tendencję. Jest po prostu tworem prawa natury i prawa Boskiego. Pastorzycy starali się połączyć bogactwo z cnotą chrześcijańską, głosząc: tylko ludzie cnotliwi stają się zamożni. Bogobojność zjednoczyła się z bogactwem. William Graham Sumner, najwybitniejszy kontynuator konserwatywnej odmiany darwinizmu społecznego na ładzie amerykańskim uznał milionerów za ostateczny produkt naturalnej selekcji: *Słusznie uważa się ich za przedstawicieli społeczeństwa, naturalnie wybranych do wykonania pewnych prac. Zarabiają dużo i żyją w luksusie, ale zyskują na tym społeczeństwo. Dzieląc społeczeństwa na rządzące się równością i rządzące się wolnością, opowiadał się za pierwszymi. Wyraził swój sceptycyzm zarówno wobec demokracji jak i socjalizmu. Tak definiował ten ostatni: *Jakikolwiek powiód, którego celem jest przez interwencję państwa uchronić jednostki od trudności lub ciężaru walki o byt i od konkurencji.***

Owa moda na darwinizm społeczny miała swoje głębokie uzasadnienie w przemianach zachodzących w społeczeństwach kry węgla i stali, ale też racjonalizowała pomysłowo groźne zjawiska. W surowych warunkach barbarzyństwa industrialnego najlepiej przystosowani uznali siebie - i zostali uznani przez innych - za najlepszych przedstawicieli społeczeństwa. Człowiek bogaty stał się nie tylko lepszy ze względu na swoją pozycję finansową, ale i doskonalszy moralnie, gdyż sumienniejszy wykonywał obowiązki wobec społeczeństwa, polegające na wcielaniu w życie zasady konkurencji. Uczył dyscypliny pracy i ostrego oszczędzania oraz używania kapitału, ale jednocześnie w ludziach biednych widział odpadki, w związkach zawodowych przymusowo i nieuprawnione stowarzyszenia, zaś w strajkach - zamach na wolną konkurencję. Wiek Pożłacany rozżalał swe blaski, lecz seria kryzysów

sów gospodarczych lat 1870-1880 zrodziła reakcję. Nicmniej jednak konflikt uznano ogólnie za motor postępu i jako taki został on przywołany przez doktrynę, o której mowa. Pojęcia darwinizmu społecznego stały się składnikami mentalności amerykańskiej.

Na pozór darwinizm społeczny można wrzucić do lamusa idej, by tam w spokoju leżał obok setek innych zużytych sydyli. Tymczasem na przekór marksizującym adeptom socjologii wiedzy, idea ta dziwnym obrotem rzeczy powraca w odmiennym otoczeniu społecznym. Powraca, krąży, nabiera atrakcyjności na obzarcze zupełnie innym kulturowo. Jeszcze nie całkiem wykrystalizowana, ma swoich rzeczowników na poziomie świadomości potocznej. Warto przyjrzeć się podłożu, którego opis odbywa się coraz częściej pod dyktando tej na pozór artwnej idei.

Na pierwszy rzut oka kontekst socjologiczny przypomina warunki, w których rozkwitł darwinizm społeczny. Coraz powozeczniejsze stają się poczucie nieracjonalności problemów polskich nie tylko za sprawą wieloletnich działań pozorowanych elity władzy, ale także pod wpływem przeciwności, iż coraz głębiej tkwimy w problemach XIX w. Spencér byłby zdania, że Polska dochodzi do stadium przejściowego pomiędzy społeczeństwem wojowniczym a przemysłowym ze wszystkimi tego konsekwencjami, z których najważniejsze to regres ekonomiczny oraz narastanie konfliktów społecznych. Wszystko wskazuje na to, że pod względem technologicznym jesteśmy nadal w opoście węgla i stali, zachowując przy tym status kolonii i dziwactwa nowożytności struktur społecznych: różnicowana inteligencja, silna klasa robotnicza, bardzo słaba klasa średnia, którą ma zastąpić niczym rozbudowana biurokracja partyjno-państwowa. To nowy element sytuacji: biurokracja ma oto wyprzeć grupy społeczne, które tradycyjnie były w Europie Zachodniej legitymacją władzy - klasy średnie. Inne odstępstwo od modelu darwinowskiego to - użycie marksowskiego terminu - stosunki pracy. Typ polskiej gospodarki można by określić jako *feudalizm industrialny*. Pod wpływem stalinowskich metod doszło bowiem do rfeudalizacji polskiej gospodarki, a w konsekwencji - do zamrożenia anachronicznej struktury społecznej po uprzednim wykastowaniu wrogów klasowych - mieszczaństwa i bogatego chłopstwa. W ciągu ostatnich trzydziestu lat znaleźliśmy się na dziwnym przecięciu dróg pomiędzy feudalnymi stosunkami pracy (przymus pracy, fabryczna pańszczyzna w wymiarze ponad noraz zachodniocuropejską przy jednoczesnym posuwaniu się w kierunku gospodarki towarowo-wymiennej itd.) a industrialną technologią. Postęp cywilizacyjny niesły do tej pory nie klasy średnie, ale stopniowo rozbudowany aparat biurokratyczny. Jeśli dodamy do tego komunistyczną ideologię, powstaje galimatias, którego opisanie i rozwikłanie wydaje się prawie niemożliwe.

Wiele z tej sytuacji wyjaśnił kryzys: zlikwidował ideologię ko-

munistyczną, ukazał absurdalność egotycznego systemu pracy na zasadzie przymusu. Pozostaliśmy natomiast w wieku pary. Objawów tej petrifikacji struktury gospodarczej i społecznej jest więcej. Dwa najbardziej widoczne to powrót do gospodarki opartej na wymianie towarów z pominięciem pieniądza oraz odżywianie anachronicznych w dzisiejszym świecie nurtów politycznych (w tym także nieproporcjonalna rola związków zawodowych). Oczywiście powrót do korzeni jest nieunikniony, nie wydaje mi się jednak, aby przy pomocy dzwignostawowicznych pojęć politycznych można było rozwiązać syndrom polski. W. G. Sumner stwierdził, że wiek XIX będzie charakteryzował militarizm, imperializm oraz obecność państwa-Lewiatana. Do tej pory obóz komunistyczny lepiej potwierdza tę przepowiednię aniżeli cywilizacja zachodnia. To zresztą groźne, że o Zachodzie wyślizły coraz częściej z nutką rozmarzenia w głosie i ściśniętym sercem.

Postęp cywilizacyjny w myśl stalinowskiej doktryny miał dokonać się przy pomocy aparatu partyjno-biurokratycznego. Biurokracja miała zastąpić klasę średnią i w pewnym sensie to uczynić, lecz egotyczny wzrost przy jej pomocy zostały już osiągnięte. Elita władzy musi sobie pozyskać nowego partnera i sojusznika, który by ją legitymował. Władza przecież nie może być naga...

Krach ideologii komunistycznej jest oczywisty. Nas interesują bezpośrednio i dalekosiężne skutki sytuacji, którą można nazwać *syndromem polskim*. Pierwsza konsekwencja to często niedostrzegany zwierzczeń pewnego wzorca społecznego. Oto bohatera pracy (socjalistycznej) zastępuje polski plutokrata - nowa odmienna barona-rozbójnika, żerującego na kryzysie quasi-ryнку oraz wykorzystującego dla swoich egoistycznych interesów potęgę państwa.

Pod wpływem rozpadu feudalizmu *industrialnego* rozpada się struktura społeczna. Pierwszą ofiarą jest oczywiście inteligencja oraz warstwa urzędnicza, które przestały być interesujące dla elity władzy (potocznie: państwa). Wiele grup społecznych zapewne padnie łupem prawa naturalnej selekcji. Elita władzy świadomie bowiem wycofuje państwo ze sfery społecznej, aby z kurczącego się budżetu opłacić instrumenty, grupy niezbędne dla sprawowania władzy: górc partyjną, policję, wojsko, jednocześnie przywołując do współpracy grupy quasi-kapitalistyczne. Coraz oczywistsza staje się osmoza establishmentu z elementem quasi-kapitalistycznym, tworzącym nowy fenomen społeczny w postaci *barona-rozbójnika*. Ludzie, złączeni nędzą, muszą gździć lokować swoje marzenia. Często, w sposób paradoksalny, ten nowy idol społeczny - człowiek sukcesu - rodzi się na zasadzie reagentu: pragnienia opowiedliwości przy równoczesnej nadziei dostania się do plutokracji.

Drugą, tym razem bardziej dalekosiężną konsekwencją *syndromu polskiego* jest zanikanie więzi

społecznych. W warunkach dramatycznego braku dóbr dochodzi do wojny każdego z każdym. Spawdzać się zaczyna uwaga Spencera poczyniona w 1852 r., że najlepszym sposobem naturalnej selekcji jest niedobór żywności. System komunistyczny nam to zapewnił. Postępuje za tym inne zjawisko z pogranicza oferty ekonomicznej i społecznej. Rynek w drodze ewolucji stworzył najbardziej elementarną siłę więzi społecznych. W państwie, które posiada tylko pozorowany rynek społeczeństwo przedstawia praktycznie istotnie. Tak to zaczyna się urzeczywistniać w Polsce hipotetyczny stan naturalny Tomasa Hobbesa: *nie ma miejsca na pracowitość, bo jej owoce są niepewne... nie ma wiedzy... ani sztuki, ani umiejtności, ani sztuki słowa, ani społeczności*. Zauważmy, że grudzień 1981 r. oznaczał klęskę specyficzną dla Polski wizji społecznej, opartej na nośnej tradycji wspólnoty.

Chcąc zwrócić uwagę na jeszcze jedną kwestię związaną z patologią darwinizmu społecznego. Walka o przetrwanie toczy się także w łonie elity władzy. Zgodnie z klasyfikacją Sumnera społeczeństwo dzieli się na *klasy* (czyli elity), *masy*, pracujące pod dyktando pierwszych i *odpady społeczne*, przegrywane wyścig o sukces. W komunizmie obowiązuje zdegenerowane prawo selekcji. Walka o to, aby nie wypaść poza obręb klasy, toczy się w oparciu o państwo. Bez jego pomocy elita tego systemu znikłaby ze sceny społecznej.

Inny ryc ideologii darwinowskiej sięga sfery świadomości tej klasy, wychowanej przeciw do ewolucjonizmu Morgana (antropologia marksistowska zatrzymała się bowiem na XIX w.). Naczelne zadanie cywilizacyjne wyznaczono jest tu w oparciu o przekonanie, iż technologiczny rozwój umożliwi rozwiązać wszelkie problemy społecznych. Elita władzy jest tak dalece opętana tym myśleniem, że w obliczu ewidentnej nieefektywności gospodarki zaczęła fałszować statystyki. Powraca również odławiony dylemat: co pierwsze - polityka czy ekonomika? Wygląda na to, że elita władzy przychyliła się do zdania Sumnera, że polityka jest zjawiskiem wtórnym wobec gospodarki: *wolność może być ustanowiona jedynie na szczyście rozwoju cywilizacyjnego*, a to tego potrzebne jest prawo konkurencji i jego pochodne: wolność umów handlowych oraz własność prywatna.

Dlatego też elita władzy obrała strategię faktów dokonanych: wyłonienia klasy *baronów-rozbójników*, quasi-ryнку, pozorowanej własności prywatnej. Czy jednak możliwa jest prawdziwa rewindykacja prawa własności pod auspicjami elity władzy - rzeczywistego właściciela państwa? Jeśli pojawia się alternatywa: rozwój, obfitość i wolność za cenę utraty władzy czy utrzymanie władzy za cenę stagnacji i regresu - to establishment wybiera oczywiście tę drugą możliwość. Jeśli bowiem przy pomocy państwa nie zabezpieczy swoich interesów, jego dni będą policzone. Stąd przypięziona obecnie fuza elit partyjno-państwowych i finansowych, stąd też ekonomizacja konfliktów, które

dopiero w momentach kryzysowych nabierają politycznego charakteru.

Jaskrawa słabość dążności politycznych wiąże się z oczywistą słabością klas średnich - tego naturalnego nośnika demokracji. Prawdziwa klasa średnia jest zresztą niepożądana także ze względu na swą naturalną wrogość wobec paternalistycznego sposobu sprawowania władzy, tak typowego dla komunistycznego establishmentu, który zawsze wie lepiej i dokładniej, czego chcą maszy. Najlepszym środkiem hamowania rozwoju w Polsce klasy średniej jest oczywiście stworzenie elitarniej grupy baronów-rozbojników. Kiedy w Stanach Zjednoczonych końca XIX w. trwały dyskusje, czy milionerzy są kapitanami przemysłu (tzn. pionierami postępu cywilizacyjnego), już w latach 80-ych okazało się, że dławią oni wolny rynek, miast go uprawniać; była to więc wolność dla najcięższych. Zauważmy, że o ile prawie wszędzie zapędy monopolistyczne hamowało państwo, o tyle w polskim przypadku jego funkcjonariusze aktywnie uczestniczą w tej transformacji.

Zmęczenie nieustanną walką o przetrwanie może doprowadzić do tego, że większość społeczeństwa znowu zaprzęgnie państwa-Lewiatana, które tym razem nie będzie w stanie dać niczego innego poza spokojną nędzą. Pozostanie tylko nadzieja przemiany w pucybuta w milionera. Jest to tym bardziej

niepokojące, że tkanka społeczna staje się bardziej podatna na pokusy wulgarnego darwinizmu aniżeli w XIX w. Ówczesna prasa chrórom stwierdzała, że egoizm ekonomiczny wystawia na ogromne niebezpieczeństwo i jednotkę, i społeczeństwo. Dziś jestoby chyba mniej odporni na uroki ewangelii bogactwa.

* * *

Państwo przestaje być atrakcyjnym pracodawcą dla ogromnej rzeszy ludzi. Elita władzy - by zachować częściowo choćby poparcie maszy urzędniczej - woła: bogaciecie się na wszelkie możliwe sposoby, byle tylko z dala od politycznych apiracji. Stąd bierze się przyzwolenie na drugi obieg gospodarzy oraz na ucieczkę emigracyjną. Drugi obieg gospodarzy wprowadza dwuznaczność: źródło dochodu i związane z tym statusu społecznego. Jest to sytuacja niezwykle wygodna dla elity władzy. Zjawisko niczym nie groźniejsze dotyka inteligencji. Upodlona ekonomicznie traci już odporność na hasła malkiwej stabilizacji, zaś paternalistycznie nastawiona elita władzy baczy, aby rzutcy przedstawiciele inteligencji nie przekształcili się w klasę średnią, świadomą swoich celów politycznych. Nieprzypadkowo w zapominanym człowieku - przedstawicielu anonimowej grupy drobnych przedsiębiorców o

wysokiej etyce pracy, widział Sumner główną zapórę dla bezwzględnie działającej klasy rozruchalonych rozbojników gospodarczych. Tymczasem następuje zanik tradycyjnego etosu postawy krytycznej; wzrasta się antyintelektualizm. Emocje i historyczne reakcje zaczynają zastępować analizę sytuacji. Upadek cywilizacyjnej roli inteligencji daje się zauważyć na co dzień - szczególnie w sferze obyczajów. Znikszczenie obyczajów to jeden ze skutków rozpadu feudalizmu industrialnego (drastycznie opisywanego przez Reymonta czy powieściopisarzy amerykańskich czasów progresywnizmu). Stajemy się podatni na szczególny typ sukcesu bez względu na koszty społeczne. Pozostaje tylko czekać, aż pojawi się rodziwy Sponsor na miarę kalckich warunków w Polsce. Może będzie nauczał w partyjnej szkółce niedzielnicy.

Kiedy więc gen. Jaruzelski na spotkaniu z papieżem na Zamku Królewskim stwierdził, że Polska socjalistyczna szczególnie ominięła etap wilezych praw darwinizmu społecznego, chyba miał przed oczyma epokę komunistycznego Dobrego Samopoczucia początku lat 60-ych, gdy poważył zapominano o 1956 r., a nie nie wskazywało nadzieje roku 1970, 1980, a także wilezych praw ministra Wilczka.

Tomasz Tyro

Rozmowa z MACIEJEM JANKOWSKIM cd. ze str. 1

u nas. Szukają dla siebie wyjścia. Przywileje, które kiedyś dawała im sama władza, przestały wystarczać. Chcą mieć wielkie pieniądze. Przedtem rządili za pomocą ideologii, za pomocą hasła. Gwarantem ich pozycji była oczywiście policja. Teraz za pomocą ideologii rządzić się nie da. Chcą rządzić za pomocą pieniędzy i - rzecz jasna - w dalszym ciągu przy pomocy policji.

- Czy w sformułowaniu "czerwony kapitalizm" nie ma sprzeczności wewnętrznej? Jak mianowicie połączyć "czerwone" policyjne rządy i kapitalistyczny wolny rynek?

- "Czerwona" policja nie musi występować przeciwko rynkowi. Może bronić tych, którzy nim trzęsą - pewnych ludzi mających pozakonomiczne przywileje w działalności gospodarczej. Widac to przy tworzeniu różnego typu firm i spółek. Ludzie związani z aparatem, bądź wywodzący się wprost z niego mają nieporównywalnie większe szanse niż cała reszta społeczeństwa. Utrzymując w dalszym ciągu konkurencję z aparatem władzy i z aparatem bezpieczeństwa, wykorzystują to gorliwie do rozbicia pieniądzy.

- Nic nowego. Pod Warszawą ciągną się hektary szklarni - przedsiębiorstw powstałych z mariażu potomstwa aparatczyków z milionerami. Coś takiego mamy już od dwudziestu bez mała lat, od czasu, gdy zaczął się kamać siermięczy socjalizm Gomułki.

- Nic mam nie przeciwko szklarniom, przeciwko rzeczywistej wytwórczości. Czerwony kapitalizm to coś dużo groźniejszego, niż budylniarz z układami. To dominacja

społeczna grupa, która nie tworząc dóbr będzie pasożytnic na systemie pod hasłem, że tylko własność prywatna może rozwinąć ten kraj i wyprowadzić go na spokojne wody. Ale ta grupa nie będzie w rzeczywistości zdolna do jakiegokolwiek twórczej działalności, a co dopiero do kierowania gospodarką. Szklarnia to zły przykład. Popatrzy raczej na różne prywatne firmy, utrzymujące się ze zleceń firm państwowych. Dobrym przykładem jest wchodzenie ludzi z nomenklatury w układy z zakładami państwowymi - przejmowanie maszyn - tzw. "dzierżawy". Cechą charakterystyczną tej grupy (nie mówię o działalności prywatnej w ogóle - koniecznej i potrzebnej) jest połączenie drapieżności XIX-wiecznego kapitalizmu z brakiem kompetencji niezbędnych prawdziwemu kapitaliście. Czerwonej burżuazji brakuje pomysłów, umiejtności efektywnego organizowania pracy. Jej egzystencja opiera się na korzystaniu z tragicznej sytuacji ekonomicznej kraju. Przybiera formę zalegalizowanej spekulacji. Większość firm prywatnych obecnie powstających, rozmaitych spółek, nie rozwija produkcji, a żyje z pośrednictwa, z tego, że na rynku nie ma towarów. Nadto, jak mówić, czerwona burżuazja związana jest z elitą władzy, która ułatwia jej egzystencję. To może być groźne nie tylko dla robotników, ale i dla prawdziwej drobnej wytwórczości - dla rzemieślników. Zwyczajny prywatniarz - krawiec, szewc czy murarz - nie wytrzymuje konkurencji z kimś, kto poprzez układy ma korzystny, pozarynkowy

dotygi do surowców, do rynków zbytu, nie mówiąc o tym, że i fiskus na takiego patrzy przez palce. Czerwony kapitalizm będzie przeszkodą w rozwoju rzemiosła i autentycznej spółdzielczości. Nie pozwoli dorobić się ludziom naprawdę pracującym i produkującym, bo nie będą mieli układow.

- Układy, jakie miały w Pteroburgu wielkie firmy z końca XIX w. - "LRL", "K. Rudzki i S-ka" - jakoś nie przeszkadzały im, a nawet pomagały, w prowadzeniu najautentyczniejszej działalności gospodarczej. Co prawda struktura gospodarstwa Królestwa Polakiego nie była wówczas zbyt korzystna, może i w związku z tymi "układami".

- Właśnie. Poza tym, tak było sto lat temu. Nie możemy się cofać, by jeszcze raz, powoli próbować rozwinąć kapitalizm. Zresztą nikt nie ma ochoty czekać na to, aż umknie ludzi, którzy teraz zarabiają na jakiejś formie rabunku i zalegalizowanego geozefciarstwa, mając zgromadzony kapitał nauczą się prowadzić uczciwe interesy. Musimy poszukiwać nowych rozwiązań. Nie cofniemy się do XIX, czy XVIII wieku, by powtórzyć drogę rozwoju Anglii, czy Francji.

- Co nam zatem pozostało, jeśli nie oczekiwanie na to, że "czerwoni kapitaliści" nauczą się zasad zwykłego kapitalizmu?

- Nic mam gotowej recepty. Widać natomiast zagrożenie. Rozwój działalności prywatnej czy społecznej w dziedzinie wytwórczości jest szalenie ważny. Jestem przeciwny uprzywilejowaniu grupy wywod. cd. na s. 24

pod hasłem repywatyzacji chcą pogłębić dotychczasowy system wyzysku. Z takim samym aparatem biurokratycznym, policją, zagrożeniami cywilizacyjnymi. Nic przypuszczam, by ci ludzie brali pod uwagę n.p. zagrożenie ekologiczne czy prawa pracownicze.

- A może tak postawimy sprawę: walczyć huty, kopalnie, idźcie w diabły i zostawcie nam rządy. Wtedy sami zatroszczymy się o prawa pracownicze, ekologię itp. Przecież aparat władzy nie da się zmniejszyć od jednego zamachu. To byłaby rewolucja w stylu rosyjskim. Dotychczasowa elita władzy musi znaleźć dla siebie jakieś inne miejsce. Wtedy wyzysk - jest to kategoria nie tylko z dziedziny moralności, ale i ekonomii - normalizyby instytucje kontrolowane przez społeczeństwo.

- Huty, stocznie i kopalnie nikt nie chce wziąć. Ono po prostu są i trzeba sobie z nimi poradzić. Rozbiórka byłaby tak samo nieopłacalna jak dalsze użytkowanie. A co z ludźmi, którzy tam pracują? Odrzucić te cztery, pięć milionów na marginesie społeczny? Nie wykluczam likwidacji niektórych zakładów, ale powtarzam - co z ludźmi? Nikt w tym kraju nie odpowiedział, co z nimi zrobić. M.p., co z Hutą Katowice, tą "masą upadłościową" realnego socjalizmu. Jedynie, co można zrobić, to oddać zarządzanie takimi zakładami samorządom robotniczym. Nie uzdrawia radykalnie polskiej gospodarki, ale jakoś tam ją poprawią. Poza nimi zresztą nikt nie chce zajmować się takimi deficytowymi gigantami.

- Wrócimy do "czerwonego kapitalizmu". Czy przewidujesz podział społeczeństwa na antagonistyczne klasy?

- Tak. Może on się narodzić choćby z pełnego pogardy stosunku czerwonej burżuazji do reszty społeczeństwa. Dla tych ludzi liczy się tylko zysk. To przypomniał wczesny dziki okres kapitalizmu. Dla czerwonej burżuazji godni szacunku są tylko kombinatory, którzy potrafią po cwaniacku robić pieniądze. Pogarda dla ludzi pracy ma w tym kraju długą historię. Słowo robot powstało właśnie u nas. Ciągłe się słyszy, że ludzie są leniwi, źli, nie chcą pracować, nie można nimi rządzić. Wniosek: należy ich wykorzystywać, bo są zupełnie nie nic warte. Miara wartości człowieka jest zysk, który można z niego wydusić. Widać to choćby po tym, co się dzieje z osmiogodzinnym dniem pracy. Nic jest przestrzegany od dawna, ale w czerwonym kapitalizmie nie będzie o nim w ogóle mowy. Jak się to jeszcze ustawi ideologicznie, to czerwoni burżuje będą panami tego kraju.

- W 1980 r. strajkowali wszyscy. W 1988 tylko robotnicy. Wydaje się, że podział nie przebiega między wąską elitą milionerów, a resztą społeczeństwa. Istniejąc, jak się zdaje, bardzo szeroka warstwa ludzi zainteresowanych materialnie w rozwoju "czerwonego kapitalizmu".

- Powstała ona w ciągu minionych siedmiu lat. W wyniku dwóch etapów tzw. "reformy" pewna grupa - nomenklatura nie tylko central-

na, ale i zakładowa, biurokracja od gminy do KC - uzyskała tak dobrą sytuację ekonomiczną i wygodną sytuację życiową, jak nigdy dotąd. Właśnie ta grupa blokuje zmiany, bo dotychczasowe pseudoreformy dały jej doskonałą pozycję. Możliwości zarabiania poprzez żerowanie na państwowych zakładach pracy są nieporównywalnie większe niż kiedyś. Oczywiście tylko dla ludzi z układów. Ludzie pracy są z tego wykluczeni. Nie jest to sztywny podział: robotnik - inżynier. Niejeden inżynier nie należy do układu. Ponadto ktoś przecież musi naprawdę organizować produkcję. Tacy ludzie wrócą do "S". Inni będą wyścypować przeciwko związkowi albo, jak w sierpniu ubiegłego roku, zachowają wobec niego dystans. Dla przykładu: pewien znany mi kierownik niedużego zakładu, związanego z wielkim przedsiębiorstwem powiedział, że jak wejdzie "S", to on się musi zwolnić. Związek nie atakowałby go najprawdopodobniej bezpośrednio, bo to nieczyli fachowiec, spawiedliwy wobec podwładnych, ale przerwane zostałyby układy, wprowadzona jawność gospodarowania. Wtedy straciłby finansowo. Takich jak on też należy zaliczyć do czerwonej burżuazji. Tu objawia się następną cechą systemu: aby zostać "kapitalistą" nie trzeba mieć kapitału. Trzeba umieć korzystać z państwowych środków produkcji i z pracy ludzi robiących na państwowym. Zysk przychodzi bez odpowiedzialności.

- W takim razie "czerwony kapitalizm" nie jest jedynie groźną perspektywą. On już jest. Od 1980 r. kilkakrotnie rozrosła się nomenklatura. Musi z czegoś żyć.

- Na razie to są zaczątki systemu. Jeszcze można przeciwdziałać jego rozwojowi, ale tylko pod warunkiem, że ludzie zajmujący się polityką gospodarczą i społeczną - zarówno ze strony opozycyjnej, jak i rządowej - uzmysłowią sobie skalę zagrożenia. Na razie czerwona burżuazja nie jest atakowana, bo liczy się na jej aktywność gospodarczą. Ale, o czym się nie pamięta, nie każda forma aktywności jest korzystna dla społeczeństwa. Aktywna reakcja, próba cofnięcia lub zatrzymania naturalnego procesu ewolucji społecznej może - a czemu nie? - doprowadzić do sytuacji, w której np. nicowolnictwo zaczęnie być lansowaną, a co gorsza wprowadzaną w życie formą organizacji stosunków produkcji i stosunków społecznych w ogóle. Tak było w Rosji za Stalina. Efekty znamy. Drugi przykład - Rumunia, komunistyczny feudalizm. To są realne zagrożenia.

- Czy nie lepiej, zamiast o "czerwonym kapitalizmie", feudalizmie czy nicowolnictwie mówić o tyranii? Wszędzie, gdzie mamy do czynienia z despotyzmem, jakaś grupa żeruje na państwie.

- Nie upieram się przy nazwie. Rzecz w tym, że czerwona burżuazja żyje z wyzysku bez pośrednictwa państwa. Pozostaje natomiast pod jego ochroną. Biurokracja i policja są na jej usługach.

- Zasada kompetencji zostaje zastąpiona przez administracyjną formę?

- To odróżnia normalny kapita-

lizm od czerwonego. Konkurencja też jest inna. Tam - na rynku, tu - w układzie. Jednym można zablokować, innych dopuścić do siły. Dla ilustracji sprawa, z którą miałem ostatnio do czynienia: rękawice robocze szyte przez jakiegoś faceta. Nic zbywa ich w otwartej sprzedaży, bo nikt ich nie chce. Kupują je przedsiębiorstwa państwowe. Nic musi dbać o jakość, bo ma układy. A rękawice rozlatują się po dwóch dniach. W normalnym kapitalizmie zbankrutowałby po dostarczeniu pierwszej partii towaru.

- Na ostatnim plenum ujawnił się podział na "reformatorów" i beton - gminną elitę władz. Założył, że ci pierwsi to zwolennicy "czerwonego kapitalizmu", a drudzy chcą utrzymać dotychczasowy system. Z kim zatem rozmawiać?

- Podziały nie są tak oczywiste. Wśród "reformatorów" można znaleźć i ludzi, którzy dążą do zmian typu demokratycznego, a wśród betonu - czerwonych burżujów. Jesteśmy w okresie przejściowym. Kto jest kim - tego dokładnie jeszcze nie wiemy. Na pewno istnieje silna grupa, w której skład wchodzi zarówno beton, jak i "reformatorzy", dążąca do zepchnięcia robotników czy szerzej - producentów do roli pariasów. Przed tym ludźmi będą się ostro bronić. Wtedy pseudoreformatorzy i beton (np. OPZZ) wystąpią w roli "obrony". Będą się starali wykorzystać niezadowolone do utrzymania starego systemu, a raczej swoich starych sfer wpływów. Tym samym wystąpią przeciw wprowadzaniu czerwonego kapitalizmu. Reakcja, jak widać, też jest podzielona.

- A gdyby tak zamiast "czerwony kapitalizm" powiedzieć liberalizm gospodarczy? Diabeł mógłby okazać się mniej straszny.

- Zagrożony jest poziom cywilizacyjny, podstawy bytu szerokiej rzeszy ludności. Nic można w takiej sytuacji mówić o liberalizmie gospodarczym bez zastrzeżeń. W praktyce może on dać bezwzględny wyzysk. Jeśli ktoś chce wrócić do dzicotnastowiecznego kapitalizmu, to niech pamięta o wykształconych wtedy metodach walki klasowej.

- Barykady?

- Z tym gorzej. Przeciw barykadom można zaangażować zbyt silne siły. Ale może rozwinąć się terroryzm. W tym kraju można kupić broń i materiały wybuchowe. Jeśli znaczne grupy, szczególnie młodzież, poczują się zupełnie wyobcowane ze społeczeństwa, zepchnięte na margines, to sięgną po skrajne środki.

- Nic za nadziei?

- To, co mówię, to na razie prognoza. Jedną z wielu. Czerwona burżuazja na dobrą sprawę nie zdecydowała się na to, by wystąpić zupełnie jawnie. Klimat społeczny jej nie służy. Jeśli prowadzone obecnie negocjacje zagwarantują wszystkim grupom społecznym równe prawa, np. prawo do organizowania się, wtedy nie ma mowy o tym, by uformował się czerwony kapitalizm, bo demokracja nie daje miejsca dla systemowej siły.

IRENEUSZ KRZEMIŃSKI

KIM BYLI ODWAŻNI Z URSUSA ?

Pytanie: jacy ludzie przystąpili do strajków w ubiegłym roku, jest wciąż bardzo interesujące. Kim byli ci, którzy odważyli się na wystąpienie w obronie nie tylko własnych interesów? Kim byli ci, którzy przegrali stan narazem i strachu o własną skórę? Odpowiedź na to pytanie ma dla nas wszystkich duże znaczenie: polityczne i zyczejnie - ludzkie.

Maciej Zalewski, który uczestniczył w strajku w Ursusie, zdołał przeprowadzić krótką ankietę. Nie były to poważne badania socjologiczne. Należy je raczej potraktować jako socjologiczne narzędzie dla zebrania opinii od strajkujących. Krótkie opracowanie wyników tego mini-sondażu pozwala na bardzo szkiecową odpowiedź na pytania: kim była siedemdziesiątka odważnych z Ursusa? jak wyolęli? jak oceniali sytuację w Polsce? itp.

Ankieta składała się z 16 pytań, w większości dotyczących sytuacji życiowej, a w kilku wypadkach - poglądów (np. na temat Gorbaczowa, czy perspektyw rządzenia Polską przez PZPR). Opracowanie odpowiedzi jest bardzo proste i schematyczne, wskazując wyłącznie na jakiś obraz socjologiczny.

Pierwsze pytanie dotyczyło wieku strajkujących. Większość z nich miała od 18 do 31 lat (tabela 1). Starsi wiekiem reprezentowani byli przez pojedyncze osoby. Najliczniejsze były grupy 19- i 27-latków. Najwiękzy udział w strajku miała grupa najmłodszych pracowników oraz grupa wiekowa 27-31 lat. Strajkowali zatem najmlodszy - do 19 lat oraz ci, którzy wkroczyli w wiek męski, w społeczną i życiową dojrzałość. O członkach tej ostatniej grupy można mówić jako o przedstawicielach pokolenia *Solidarności*. W 1980 r. liczyli sobie oni 19-23 lata. Chociaż wtedy nie byli grupą najaktywniejszą w tworzeniu Związku, wprowadzenie stanu wojennego przesądziło o ich postawie i poczuciu więzi, formując nowe pokolenie.

Ciekawe, że wśród strajkujących w 1988 roku było tak wielu bardzo młodych pracowników Ursusa (aż ośmiu 19-latków). Może to wskazywać na różnicę postaw najmłodszych uczestników życia społecznego w 1988 i 1980 roku - teraz ci najmłodszy żądają zmian, są znacznie bardziej niepokojni i aktywni.

Jednakże młody wiek - jak to bywa w środowisku robotniczym - nie jest tożsamy z brakiem doświadczenia życiowego i społecznego. Zdecydowana większość strajkujących to ludzie, którzy pracują od dłuższego czasu. (tabela 2). 30% spośród nich pracuje już od 5 do 10 lat, 25% ponad 10 lat. Średni staż pracy strajkujących wynosi 7 i pół roku (choć w samym Ursusie - przeważnie krócej). 12% strajkujących pracowało krócej niż rok, ale takich, którzy nie przepracowali nawet roku w samym Ursusie - było 18,5%. Zdecydowana

większość jednak przepracowała w zakładzie kilka lat.

Zatem decyzja o przystąpieniu do strajku podejmowana była przez tych, którzy mieli oparcie doświadczeniem w pracy oraz tych, którzy do pracy dopiero przystąpili. Potwierdzały to aktywne i nonkonformistyczną postawę najmłodszych, ale zarazem - staż pracy większości wskazuje, że uczestnictwo w strajku nie było czymś nieprzewidywanym lub przypadkowym.

Wśród strajkujących większość tworzyli nie należący do "S" - 44% (tabela 3). Mniejszość (38,5%) strajkujących należała do "S" od 1980 r. Wazne opracowanie nie pozwala na analizę, którą socjologowie nazywają *analizą korelacyjną*, w której bierze się pod uwagę zarazem dwa różne (lub więcej) cechy odpowiadającego. Nie wiemy zatem, ilu najmłodszych nie należy do "S". Dokonaliśmy jednak dodatkowych obliczeń, z których wynika, że blisko połowa nie-należących (45%) to osoby w wieku 8-21 lat. Wynikałoby z tego, że najbardziej aktywnymi uczestnikami strajku byli istotnie członkowie "Solidarności" oraz najmłodszy pracownicy. Wynika też z tego, że przed strajkiem najmłodsza grupa pracowników nie była włączona w niezależną działalność związkową.

Jednakże kwestia przynależności do "S" jest bardziej skomplikowana. Składa się na nią poczucie przynależności do Związku - bardziej postawa psychiczna i życiowe nastawienie niż formalna przynależność. Z pytania o składki związkowe wynika, że tylko 16% odpowiadających na ankietę płaci je (w wysokości około 300 zł miesięcznie). A przecież za należących do "S" uważa się 44% odpowiadających. Mniej więcej co trzeci spośród nich opłaca składki związkowe. (tabela 4).

Większość strajkujących pochodziła z tych samych wydziałów. Aż 35 uczestników naszej ankiety pracowało na wydziale PLB (49%), 17 - na CW (24%). Nie znam na tyle Zakładów Mechanicznych Ursusa, aby móc odpowiedzieć na pytanie, czy jest to zbieżność przypadkowa, czy nie. Natomiast wiadomo, że strajki - nawet w niedużych zakładach - inicjowane są przez niektóre tylko wydziały. Złazszcza to, które cieszą się uznaniem wśród całej załogi, są ważne dla zakładów, a pracujący tam ludzie są ze sobą zżyli i mogą być dla innych wzorem. W czasie *gorącego* lata 1980 w Warszawie strajki były inicjowane na ogół przez pracowników narzędziowni lub odpowiedników tego wydziału.

Strajkujący z Ursusa mieli na ogół doświadczenie strajkowe - dla 27% odpowiadających na naszą ankietę był to drugi strajk, dla 24% - czwarty, a 7% brało udział we wszystkich akcjach strajkowych, jakie miały przedtem miejsce w Ursusie. Jednocześnie 41% strajkowało pierwszy raz (tabela 6). Połowa z nich to najmłodszy (19-21 lat życia). Natomiast w grupie

wieku 27-31 lat pierwszy raz strajkowało tylko 4%.

Zarówno duże doświadczenie strajkowe, jak i odpowiedzi na pytanie o czytelnictwo prasy podziemnej potwierdzają toż, że uczestnictwo w strajku nie było przypadkowe. Stanowiło raczej wyraz głębszej postawy. Bowiem ponad połowa (53%) strajkujących czytała pracę podziemną (tabela 7). Najpopularniejszą była "Tygodnik Mazowiec" - czytało go 78% spośród czytelników prasy oraz "Wolny Głos Ursusa" (68%). Wymieniano jeszcze "Wolę", "CDN", "Bazę", "PWA", "Kosa".

Jedno z pytań ankiety pozwalało sprawdzić, jaki sens ma deklaracja przynależności do "S". Było to pytanie: *Co wiesz na temat Frasyńczyka? Chociaż tak wielu strajkujących deklarowało, że należy do "S", a jeszcze więcej czytało pracę podziemną, zaskakujące niewiele wiedziało, kim jest Wł. Frasyńczyk. Za poprawną odpowiedź uznaliśmy stwierdzenie, że jest on działaczem "S" z Wrocławia. Tylko 6 odpowiadających udzieliło takiej odpowiedzi, jeden zaś napisał, że Frasyńczyk to działacz KOR-u z Wrocławia. Aż 27 odpowiadających wpisało ogólnik: działacz "S" albo po prostu "Solidarność" (38%). Całkiem błędnych odpowiedzi (np. działacz NSZZ Region Mazowiec) lub odpowiedzi nie na temat (np. odważny) było 15, co stanowi 21%. 31% odpowiadających na ankietę przyznało się, że nie wie kim jest Frasyńczyk, natomiast jedną odpowiedź zaliczyliśmy do niejących: *działacz, którego popieram*. Nicotety spośród grupy najmłodszych strajkujących (18-21 lat) ani jeden nie udzielił na to pytanie dobrej odpowiedzi, natomiast aż 66,7% spośród nich przyznało, że nie zna Frasyńczyka. Z dało błędną odpowiedź (np. Gdańsk). Reszta (około 22%) dała ogólnikową odpowiedź: *działacz "S"* (tabela 9).*

Jeżeli uwzględnimy, że tak wielu pytanym deklaruje czytelnictwo podziemnej prasy, zaskakujący jest brak wiedzy o jednym z - jak wolno sądzić - bardziej popularnych działaczy Związku. Smutne to świadectwo propagandowej siły "S". Odpowiedzi na to pytanie pozwalają stwierdzić, że ludzie mają bardzo słabą wiedzę na temat Związku.

Aktywna postawa społeczno-polityczna, którą przypisaliśmy strajkującym, nie jest wparta wiedzą na temat "S" - a więc wiedzą o dotychczasowych formach działania, wypracowanych wzorach i ideach, o zasłużonych ludziach ruchu społecznego. Warto byłoby lepiej poznać pro-solidarnościowe postawy, które ostatnio pojawiają się w Polsce. Być może, nawet głębiej i ugruntowane na pozór postawy mają głównie charakter emocjonalny. Nie są oparte na wiedzy o dotychczasowym działaniu społecznym "S". Jak sądzę jest to ważna sprawa dla przyszłości Związku i całego kraju.

Jaka była bytowa sytuacja
cd. na s. 27

TABELA 1 N - 70

Wiek (lata)	n	%
do 20	13	18,5
21 - 25	20	28,5
26 - 31	26	37,1
powyżej 31	11	15,7
(w tym 31 - 35)	(8)	(11,4)

TABELA 2 N - 70

Staż pracy w ogóle (lata)	n	%
do 1 roku	8	11,4
1 - 5	16	22,8
5 - 10	21	30,0
powyżej 10	18	25,7

TABELA 3 N - 70

Należy do "S"	n	%
nie należy	31	44,2
należy od 1980	27	38,5
należy od chwili podjęcia pracy	4	5,7
inne określenia	8	11,4

TABELA 4 N - 71

Płaci składki	n	%
tak	11	16,4
nie	44	61,9
podają sumę	16	22,5

średnia składka 306 zł

Średnia 7,95 lat

Staż pracy w Urzędzie	n	%
do 1 roku	13	18,5
1 - 5	27	38,5
5 - 10	20	28,5
powyżej 10	9	12,8

Średnia 5,73 lat

TABELA 5 N - 70

Wydział/zakład	n	%
Mowa odlownia	1	
CN	17	
PC/CN	1	
MN odlownia	2	
MN	6	
Odlownia	1	
PLB	35	
BC - HT	2	
BC	4	
BB	2	

TABELA 6 N - 70

Który strajk	n	%
pierwszy	29	41,4
drugi	19	27,1
trzeci - czwarty	17	24,2
wszystkie dotychczasowe w Urzędzie	5	7,1

TABELA 7 N - 71

Czytelnictwo prasy niezależnej	n	%
nie czyta	30	42,2
czyta	41	57,2

N - 41

"Tygodnik Mazowiec"	29	70,7
"Wolny Głos Urzędu"	28	68,2
"CDN"	3	7,3
"PWA"	2	4,8
"Baza"	2	4,8
"KOS"	2	4,8
"Wola"	1	2,4

Suma liczb przekracza 100, bo można było wskazać więcej niż jedno.

TABELA 8 N - 71

Zarobki w tys. zł	n	%
poniżej 30	2	2,8
30 - 40	12	16,9
41 - 50	25	35,2
51 - 60	24	33,8
powyżej 60	5	7,0
brak odpowiedzi	3	4,2

TABELA 10 N - 71

Rodzina	n	%
Kawaler	40	56,3
Eonaty bez dzieci	9	
1 dziecko	12	
2 dzieci	8	36,6
3 dzieci	3	
brak odpowiedzi	5	7,0

TABELA 9 N - 71

Kto to jest Erasyniuk ?	n	%
Działacz "S" z Wrocławia	6	8,4
Ogólnik - działacz "S"	27	38,0
Odpowiedzi błędne i nie na temat	15	21,1
Nie wie	22	30,9
Inne	1	1,4

TABELA 11 N - 71

Mieszkanie	n	%
Nie ma własnego	61	87,1
Mieszka w hotelu	30	57,3
na kwaterze	5	8,2
Wynajmuje	2	3,2
U rodziców	14	22,9
Ma własne mieszkanie	9	12,7
Własny dom	1	1,4

TABELA 12 N - 71

Czy Urząd stanic	n	%
Tak	44	61,9
Nie	20	21,8
Brak odpowiedzi	7	9,8

TABELA 14 N - 70

Czy władza użyje siły ?	n	%
Tak	19	27,1
Nie	43	61,4
Nie wiem	8	11,4

TABELA 13 N - 71

Czy akcja strajkowa rozszerzy się	n	%	n	%
Tak	60	84,5	Nie	
Nie	9	12,6	wiem	2
				2,8

TABELA 16

N - 71

TABELA 15 N - 71

Jak długo jeszcze będzie rządzić PZPR	n	%
1) Określenie liczbowe: 0 (zero)	2	2,8
1 rok	3	4,2
2 lata	2	2,8
5 lat	1	1,4
10 lat	1	1,4
2) Władza PZPR kończy się lub będzie trwać już niedługo	13	18,3
3) Jeszcze potrwają lub nie ma widoków na szybką zmianę PZPR	8	11,3
4) Długotrwałość władzy PZPR zależy od ZSRR	2	2,8
5) Trudno powiedzieć, nie wiadomo	17	23,9
6) Inne	14	19,0
7) Brak odpowiedzi	8	11,3

Ocena Gorbaczowa

	n	%
1) Oceny pozytywne (dobry polityk, chce coś zmienić, niegłupi facet)	7	9,5
2) Oceny negatywne (oszust, karciarz, łajdak, Ruśk czerwony, złodziej, Stalin, nie podoba się)	11	15,1
3) Określenia demaskatorskie: udaje, jest świetnym propagandzistą, reklama dla zuchów, otwiera porzory, ale nie chodzi mu na prawdę o zmiany, Don Kichot.	9	13,3
4) Określenia neutralne (komunista, przewodniczący ZSRR, sekretarz KPZR, Ruśk)	17	23,3
5) Określenia związane z nieznanymi ocenami przemian w ZSRR (robi picieciostrojka, ale za wolno)	3	4,1
6) Określenia formułujące postulat nie wtrącania się w sprawy Pol- ski)	2	2,8
7) Inne określenia	7	9,5
8) Brak odpowiedzi	16	21,9

1) W tabelach, w których procenty nie sumują się do 100, brakujące odsetki obejmują brak danych.
2) Tam, gdzie suma procentów przekracza sto, badani podali więcej niż jedną odpowiedź.
3) Średnie są średnimi arytmetycznymi częstości danych przez badanych wielkość.
4) W niektórych tabelach część danych ujęta jest w inne kategorie.

W powyższej tabeli dane nie sumują się do 100, bo odpowiedź zaliczona być mogła do więcej niż jednej kategorii.

strajkujących? Otóż 35% spośród nich zarabiała od 41 do 50 tys. zł, prawie tyle samo (34%) od 51 do 60 tys. zł (tabela 8). Tylko 2 zarabiała poniżej 30 tys. zł miesięcznie, a 5 - powyżej 60 tys. zł. Przeciętna płaca strajkującego wynosiła 46.700 zł.

Większość z nich była kawalerami (61%), a niemal wszyscy żonaci mieli dzieci (tabela 10). Mimo to przytaczająca większość (aż 87%) nie miała własnych mieszkań - 57% mieszkało w hotelu robotniczym, 23% mieszkało u rodziców lub teściów. Prawie połowa z nich (47%) mieszkała u rodziców lub - części - teściów z własnymi rodzinami.

O ile zatem wysokość zarobków, które osiągnęli strajkujący, nie była szczególnie niska, o tyle ich sytuacja życiowa, związana z warunkami mieszkaniowymi, była kiepska. Jeżeli więc troska o zabezpieczenie własnych, żywotnych interesów materialnych była motywem podjęcia strajku, to z całą pewnością zakładał on wyłączenie w szerszym horyzoncie niż bieżące zarobki.

W jaki sposób oceniali strajkujący własny protest oraz szanse rozszerzenia się strajków w Warszawie i w kraju? Otóż 69% odpowiadających na ankietę było zdania, że strajk obejmie cały zakład w Ursusie (jak wiadomo, tak się nie stało). Nie wierzyło w to 31% odpowiadających. Jeszcze więcej, bo aż 84,5% naszych ankietowanych wyrażało pogląd, że akcja strajkowa rozszerzy się na Warszawę i kraj. Bliżko 13% uważało, że nie dojdzie do tego, a tylko 3% odpowiadających napisało: *nie wiem*. Większość była przekonana, że władze partyjno-państwowe nie użyją siły do stłumienia strajków (61%), zaś 27% obawiało się użycia siły. W tym wypadku optymizm okazał się trafny przewidywaniem (tabela 12, 13 i 14).

Bardzo interesująco przedostawiają się odpowiedzi na dwa ostatnie pytania ankiety. Pozwalają nam one dowiedzieć się czegoś więcej o sposobie wyłączenia na temat sytuacji kraju i o światopoglądzie naszych ankietowanych. Pierwsze z pytań brzmiało: *Jak długo PZPR rządzić będzie jeszcze w Polsce?* Odpowiedzi były różnorodne. Podzieliłoby je na kilka kategorii:

1) władza PZPR kończy się lub będzie trwać niedługo - tak uważało 18%. Jeżeli doliczyć również tych, którzy udzielili bardziej konkretnej odpowiedzi, mówiąc, że 1 rok lub 2 lata - wówczas ten odsetek wyniesie 28 (tabela 15).

2) władza PZPR potrwa jeszcze dłuższy czas lub nie ma widoków na to, aby utraciła władzę - 11% ankietowanych. Jeżeli doliczyć tych, którzy wskazali 5 i 10 lat trwania PZPR przy władzy, uzyskamy 14% odpowiedzi.

3) długotrwałość władzy PZPR zależy od ZSRR - PZPR trwać będzie do czasu zasadniczych zmian (rewolucji) w Związku Radzieckim - tak odpowiedziało 2 strajkujących - 3%.

4) najczęściej była odpowiedź: *trudno to przewidzieć; nie wiadomo; trudno mieć pewne zdanie na ten temat* - 24% odpowiadających.

5) wręcz inne odpowiedzi - 20%. Jeden z odpowiadających powiedział, że PZPR będzie rządziła wiecznie. Inna odpowiedź brzmiała: *PZPR nich istnieje, ale powinna być rywalizacja między związkami. Większość odpowiedzi, które się tutaj znalazły, to niejaane stwierdzenia.*

Analiza odpowiedzi na powyższe pytanie wskazując, że najczęściej było przekonanie o niepewnej przyszłości rządów PZPR. Zdecydowana większość odpowiadających twierdziła, że władza PZPR trwać będzie długo bądź że zmiana tej sytuacji zależy od przemian w ZSRR, daleko bardziej zasadniczych niż obecna *picricatrojka*. Zdaje się, że większość odpowiedzi *nie wiem* bądź *trudno w tej chwili przewidzieć* należy odczytywać jako przekonanie, że rządy PZPR nie są ugruntowane, nie mają perspektywy, choć trudno przewidywać kiedy - i w jakich okolicznościach nastąpi zmiana sytuacji. Nicstety nie mamy żadnych dodatkowych pytań, które pozwoliłyby dokładniej określić postawy ankietowanych.

Wróćcie ostatnie pytanie ankiety. Dotyczyło ono oceny osoby M. Gorbaczowa i zmian zachodzących w ZSRR. Odpowiedzi na to pytanie podzieliłoby na kilka kategorii (tabela 16).

1) pozytywna ocena Gorbaczowa (*niegłupi facet, dobry polityk, chce coś naprawić zwicnicie*) - tak odpowiedziało 9,5% ankietowanych.

2) negatywna ocena Gorbaczowa (*oszust, karłowicz, Łajdak, Ruśk czerwony, Stalin, złodziej, nie podoba się*). W ten sposób odpowiedziało 15% strajkujących.

3) określenia *demaskujące* Gorbaczowa - stwarza tylko pozory, że chce istotnych zmian systemu (*światny propagandzista, robi reklamę dla zuchów, udaje tylko, że chodzi mu o zmianę systemu*). W ten sposób oceniło 1 sekretarza KC KPZR 13% odpowiadających.

4) określenia neutralne, opisowe (*sekretarz KPZR, przywódca ZSRR, komunist, Ruśk*; te dwa ostatnie określenia uznajem za neutralne, w odróżnieniu od podobnych określeń z dodatkowymi epitetami choć być może jednak miały one jakieś - raczej negatywne - zabarwienie emocjonalne). Jest to

najliczniejsza grupa odpowiedzi; tak odpowiedziało 29% ankietowanych.

5) określenia, które wiążą się z mieszany ocenami intencji Gorbaczowa i zachodzących w ZSRR zmian (o są to stwierdzenia, jak: *robi picricatrojkę, ale idzie to za wolno, chce zmian, ale mu się nie udaje itp.*). 4% odpowiedzi.

6) określenia, które zgłaszają postulat nie wtrącania się w sprawy polskie (*nich robi picricatrojkę, było nas zostawił*). 3% odpowiedzi.

W odpowiedziach na to pytanie przeważa negatywna ocena zmian zachodzących w ZSRR. W zasadzie - mimo wielu pozytywnych ocen - przeważa pogląd, że Gorbaczow jest oprytnym aktorem, któremu udaje się wprowadzić w błąd opinię publiczną, co do owych zasadniczych intencji. Zmiany, jakie zachodzą w ZSRR są dostrzegane, ale zarazem panuje przekonanie, iż są one powierzchniowe i ani Gorbaczow, ani KPZR nie mają intencji przeprowadzenia prawdziwych, głębokich i koniecznych reform. Z odpowiedzi wyłania się postawa, którą można określić: *nie damy się oszukać, nie damy się zwieść pozorom*. Nawet, gdy ocenia się pozytywnie osobę Gorbaczowa, podkreśla się jego niatrzejstwo w manipulowaniu obrazem swojej osoby. Jednakże nie daje się propagandzie wiarę.

Postawa, która się przejawia w tych odpowiedziach, może być rozmaicie interpretowana. Mamy za mało danych, aby móc ją jednoznacznie określić. Niechcąc do Gorbaczowa, lekceważenie zmian zachodzących w ZSRR może płynąć zarówno z braku wiedzy, z niedostatku informacji i zainteresowania dla tego, co dzieje się w ZSRR, jak z realistycznej oceny faktu powierzchnowości reform, ich ra-tunkowego dla systemu charakteru. W każdym razie odpowiedzi są sformułowane w taki sposób, jakby były polemiką z bezkrytycznie przyjmowaną, pozytywną oceną osoby i zamierzeń Gorbaczowa przez opinię publiczną na Zachodzie. Stąd tak częsty *demaskatorski* charakter odpowiedzi.

Ireneusz Krzemiński

ANDRZEJ URBAŃSKI

demagogię i owcze przekonania. Przykładem gry OPZZ jest w tej materii znaczący. W tej sytuacji tak istotny jest uniwersalny, narodowy i lokalny (parafialny) autorytet Kościoła, ważne jest każde autentyczne zakorzenienie społeczne: w zakładach, w Duszpasterstwach Ludzi Pracy, w środowiskach. Twierdząc, że będzie to najważniejszy kierunek politycznych przeobrażeń w okresie przejściowym. Ta polityka wymaga swojego programu. Może to być, jak sądzę, program rewindykacji nowego typu - rewindykacji obywatelskiej, ograniczonej na dwa co najmniej sposoby: 1. wobec swej lokalności terytorialnej, instytucjonalnej, środowiskowej, politycznej oraz 2. wobec pewnej wizji demokratycznego państwa, która to wizja stanowi dzisiaj dla mnie horyzont mojego

Przed czerwcem cd ze str. 2

zaangażowania. Kluczowy jest więc nie Sejm, ale samorząd lokalny i walka z nomenklaturą. Obecność w Sejmie widziałabym jako instrument pomagający wymuszać zmiany, które są w tym programie niezbędne. Wejście do Sejmu i Senatu będzie źródłem wielu nowych dla opozycji niebezpieczeństw, które mogą także stać się udziałem Dziekanii. Dlatego za bardzo ważny uważam problem opozycyjnej tożsamości. Tożsamość tę widzę wątką, wyrastającą z pewnych antynomii. I tak np. wozynicy mamy rodowód antytotalitarny, ale jednocześnie jesteśmy środowiskiem podkreślającym wagę państwa, jego niezbędność, słuszność, lecz i autonomizację wobec społeczeństwa. Nasza opcja państwowa jest więc uwikłana w opór podwójny: wobec uproszczeń

cd. na s. 28

mistyfikujących nicograniczonosc swobód społecznych oraz wobec autorytarnych inicjatyw. Kolejna antynomia: antykomunistyczny rozwój opozycji, nacza wyraźna niezgoda na ideologiczne rozszczepienia jakichkolwiek doktryn (szczególnie tej dotkliwie nam znanej - leninizmu) i katolicyzmu, będący zbiorem zasad, wartości, sposobów postępowania, czy też doktryną społeczną tzw. trzeciej drogi - między liberalizmem a komunizmem.

Stawiam te antynomie, by jasniejszą stała się konieczność sformułowania wyraźnego opozycyjnego *non possumus*, ale także i konieczność akceptacji tej drogi, na którą wkraczamy, akceptacji rozumianej jako zgoda na racjonalizację rzeczywistości. By jasne było, że nadal wybór podstawowy dokonywać się będzie między: być z ludźmi czy być z władzą; tworzyć nowe struktury społecznych inicjatyw czy też dokonywać wymiany elit w starych strukturach. Należy walczyć z tym państwem w jego obecnym kształcie nie dla samej negacji, lecz w imię realistycznej wizji innego państwa - demokratycznego. Ale walczyć nie sloganami lub wielością różnych opinii, lecz pełną kulturą polityczną, sprawnością prawną, organizacyjną podmiotowością, efektywnością gospodarczą. W moim przekonaniu spór o Polskę w najbliższych latach będzie przede wszystkim sporom o państwo, będzie sporom o władzę w tym państwie i będzie próbą wykonania tej siły, o której tak chętnie i prosto mówimy - opozycyjne centrum. Ta siła polityczna, o której myślę, musi odnaleźć swoje zakorzenienie w żywych środowiskach obywatelskich. Musi umieć sformułować program politycznych identyfikacji nowego typu. Dla mnie, dla ludzi strzegących swojej solidarnościowej tożsamości, program ten nadal jest bardziej zadaniem niż jakąś konkretnością. Wymaga on dopełnienia w kwestii podatowości opozycyjnego centrum oraz zarysowania politycznego horyzontu w okresie przejściowym, w jaki wkraczamy.

Idąc oś, o której tutaj mowa, najkrócej charakteryzuje się przez pojęcie *Solidarności*, *Idologicznego Pragmatyzmu* i *Ekonomicznego Liberalizmu*.

Solidarność nie jest tożsama ze społecznym solidaryzmem. Wspólnotowe wartości wyrażające z walki, jaką od lat toczyliśmy, z rozszczę obywatelskich i zawodowych, praktyk wymuszania zdobyczy na władzy, zawierają również przekonanie o dobru wspólnym niepodległego państwa. W tym tkwi nasz program samoograniczenia i ewolucji. Samoograniczenia, którego sensem jest akceptacja obozu rządowo-koalicyjnego, jego zakorzenienia społecznego, politycznego i międzypartydowego za cenę rządowych ustępstw na polu gospodarki i praw. Uwłaszczenie środowisk pracowniczych (tzw. akcjonariat pracy), ograniczanie i likwidacja nomenklatury gospodarczej - to koszt, jaki władza musi płacić za ewolucyjny charakter przemian w kraju. Będzie to możliwe pod warunkiem, że opozycyjni działacze nie zrezygnują za cenę obecności w strukturach władzy z pełnienia roli rzeczowników i orga-

nizatorów ruchu rozszczęniowego. Zaniedbania w tej przestrzeni życia społecznego grożą opozycji anihilacją.

Obecnie niewiele znaczą stare hasła i identyfikacje ideowe. Chętniej rozwój opozycji fundowanej na zasadach XIX wiekowych (socjaliści, narodowcy, ludowcy) nakazuje rozważenie potrzeb i aspiracji nowej klasy politycznej, która kształtuje się obecnie. Jej społeczny charakter, zasięg, aktywność i dynamizm pozostają nadal polem słabo rozpoznany. Współtworzymy ją i jesteśmy przez nią warunkowani. W planie politycznym opozycja zdobyła dziś więcej, niż jest w stanie wypełnić. Struktury polityczne, będące zawsze zwiastem ruchu społecznego, ograniczenie wiążącego społeczeństwo w grupy interesu, muszą przez najbliższe cztery lata dobudowywać swoje zaplecze społeczne. Będzie to proces przyopieczony, nie znaczy to jednak, że musi być konstytuowany przez zasady ideowe, które w całej Europie przechodzą ostrą fazę kryzysu.

Gospodarka wolnego rynku to wizja, która od środowisk opozycyjnych wymaga nowego typu aktywności. Tu można pokusić się tylko o zarysowanie głównych wątków tego programu. Walka o uwłaszczenie gospodarki nie może pomijać sektora najważniejszego - tzw. państwowego. Ruch rozszczęni placowych powinien ewoluować w kierunku zmiany praw własności. Dopiero akcjonariat pracy w połączeniu z napływem kapitału obcego lub uruchomieniem kapitału rodzimego (związków, stowarzyszeń i innych fors grupowych) zapewni trwałe przemiany na drodze ku gospodarczej efektywności. Przemianie ulce muszą stosunki własności w sektorze koswalnym, samorządowym (Rady Narodowe) i spółdzielczym. Nasza walka z nomenklaturą - w sensie tu zarysowanym - ma charakter nie tylko ideologiczny (nomenklatura - PZPR), ale również pragmatyczny. Ta bowiem elita władzy jest przeszkodą na drodze do jakichkolwiek reform. Zmiany w sferze gospodarki muszą uwzględnić pewne minimum zdobyczy społecznych, jakie przyniosł ludzom w Polsce socjalizm. Zdadne są przekonania, że da się Polaków cofnąć w sensie socjalnym do poziomu Korei sprzed Cwicerwleca. Równie demagogiczny jest pogląd, głoszący konieczność zapewnienia wszystkim grupom społecznym równomiernego statusu ekonomicznego w dobre reformy.

Kończąc te uwagi chcę podkreślić niezbędnosc rzetelnego wysłuchania o formach demokracji w Polsce. Ten, kto zapewni warunki umożliwiający żywy współdziałanie społeczeństwa w grze o władzę na szczeblu gminy, dzielnicy, miasta więcej zrobi dla demokracji, niż ten kto zajmie się wygłaszaniami szlachetnych przeciwników sejmowych. Ci, którzy będą potrafili narastającą falę społecznego zniecierpliwienia przekształcić w zorganizowany nacisk na nomenklaturę, więcej uczynią dla ewolucyjnych przemian niż dyskutuujący i bankietujący w salonach władzy.

Andrzej Urbański

Krzysztof Stanowski

Problem obecności w harcerstwie elementów wychowania religijnego, służby Bogu, do której zobowiązywało się wiele pokoleń polskich harcerzy, budzi dziś i prawdopodobnie będzie budzić w przyszłości wiele emocji i kontrowersji. Ostatnio temat ten podejmowali wielokrotnie zarówno przedstawiciele oficjalnego ZHP, jak i instryktory z niezależnych środowisk harcerskich, harcerzy duszpasterze. Wbrew często powtarzanym opiniom tocząca się dyskusja nie jest czymś nowym w dziejach polskiego harcerstwa. Warto może więc dziś przypomnieć, jak harcerską służbę Bogu rozumiał twórca skautingu Robert Baden Powell, jak wyobrażano ją sobie w harcerstwie w okresie do zakończenia II wojny światowej.

W 1908 roku angielski generał, bohater wojny burskiej, wydaje książkę "Scouting for boys" - "Zwiadowstwo dla chłopców". Podręcznik wychowania dobrych obywateli". Książka zapoczątkowała błyskawiczną karierę nowego ruchu młodzieży, przez który do dnia dzisiejszego przewinęło się ponad ćwierć miliarda chłopców i dziewcząt z ponad 100 krajów. Według założen Baden Powella skauting nie miał być ruchem religijnym. Bohater spod Mafekinga pisał swój podręcznik w przekonaniu, iż nowa forma pracy z młodzieżą zdoła zapobiec poważnemu kryzysowi, jaki na przeciwieństwo wicków przeżywało jeszcze wówczas potężne Imperium Brytyjskie. Chciał wychować młodych Brytyjczyków i mieszkańców kolonii - niezależnie od koloru ich skóry, pochodzenia społecznego czy wyznania - na dobrych, lojalnych obywateli Imperium. Dlatego właśnie Baden Powell świadomie nie dążył do związania skautingu z żadnym określonym wyznaniem, lecz patrzył na religię przede wszystkim ze społecznego punktu widzenia, uznając ją za czynnik kształtujący zasady społecznego współżycia, ukazujący ludziom wartości pozamaterialne, wzory bohaterckiego postępowania. Jak pisał: *Religia oznacza coś bardzo prostego: 1. Miłość i służbę Bogu, 2. Miłość i służbę bliźnim.*

Ponieważ człowiek, który nie wierzy w Boga i nie słucha jego praw, nie jest wiele wart - każdy skaut musi być religijny. Baden Powellowi było chyba całkowicie obojętne, jaka to religia. Wszystkie religie i wyznania /nie tylko chrześcijańskie/ traktował równorzędnie, przekonując czytelnika, że podobnie jak różne formacje wojskowe (...) choć w różnych uniformach służą jednemu królowi (...) tak ludzie różnych wyznań służą jednemu Bogu.

Charakterystyczny dla stosunku Baden Powella do religii jest

wychowanie religijne W HARCERSTWIE

opisów, w jaki motywował on wybór postaci św. Jerzego na patrona skautów. Nie powoływał się na pobożność świętego, jego przymioty moralne czy bohaterkie czyny, lecz stwierdzał, iż św. Jerzy jest jedynym konnym świętym, dzięki czemu nigdy nie był patronem średniowiecznych rycerzy, a dziś jest patronem kawalerii i... skautów.

Taki sposób potraktowania religii w "Skautingu dla chłopców" spowodował, że w pierwszych drużynach skautowych kwiecień życia religijnego odsunięte były na daleki plan. Spotkało się to z ostrą krytyką wielu środowisk, przede wszystkim katolickich. Krytyka ta spowodowała, iż sprawa wychowania religijnego i organizowania praktyk religijnych w drużynach stała się głównym tematem zwołanej we wrześniu 1909 roku pierwszej ogólno-brytyjskiej konferencji instruktorów. Sformułowano wówczas wskazówki, jakimi miało kierować się w wychowaniu religijnym w skautingu. Po zaakceptowaniu przez najważniejsze kościoły Wielkiej Brytanii zasady te zostały wprowadzone do regulaminów skautowych:

1. Oczekuje się, że każdy skaut będzie członkiem jakiegoś wyznania i będzie wypełniał praktyki religijne tego wyznania.
2. Jeżeli drużyna składa się z członków wyłącznie jednego wyznania, instruktor w porozumieniu z kapłanem lub innym autorytetem religijnym powinien inicjować takie praktyki oraz edukację religijną, które uzna za najstosowniejsze.
3. Jeżeli członkowie drużyny są różnych wyznań, młodzieży należy przypominać o praktykach ich wyznania. Drużyny takie nie powinny uczestniczyć w publicznych uroczystościach kościelnych.

W miarę rozprzeczniczenia się idei skautowej na cały świat wskazówki Baden Powella adaptowano do miejscowych warunków. Stocunec do religii i wychowania religijnego od pierwszych lat istnienia ruchu należał do tych elementów, które różniły poszczególne organizacje skautowe. Część organizacji bez zastrzeżeń zaakceptowała postanowienia konferencji z 1909 roku /np. skauting amerykański/. W szeregu wielowyznaniowych krajów Europy Zachodniej ukształtował się z czasem tak zwany kolumnowy system organizacji młodzieżowych, w ramach którego powstało szereg niezależnych od siebie, równoległych działających organizacji skautowych: neutralna /najbliższa wzorowi badenpowellowskie/, protestancka, katolicka, żydowska itp. To o charakterze wyznaniowym organizowały dla swoich członków praktyki religijne, miały kapłanów, niektóre utrzymywały oficjalne

kontakty z hierarchią kościelną, a nawet - jak Scouts de France - wprowadziły do roty przyrzeczenia skautowego, obok obowiązku służby Bogu i Ojczyźnie, obowiązek służby Kościołowi. W okresie międzywojennym katolickie organizacje skautowe dla koordynacji swoich prac utworzyły międzynarodowe Biuro Skautów Katolickich.

* * *

Pierwsze próby adaptowania skautingu do polskich warunków podjęły na terenie autonomicznej Galicji trzy organizacje pracujące z młodzieżą: Związek Polskich Gimnastycznych Towarzystw Sokolich, Organizacja Młodzieży Niepodległościowej "Zarzewie" i "Elcuzis". Każda z nich inaczej widziała miejsce wychowania religijnego w swojej pracy. W "Sokole" - pozostającej pod wpływami narodowej demokracji, legalnie działającej organizacji stawiającej sobie za cel podniesienie kultury fizycznej polskiej młodzieży - kwestią wychowania religijnego w zasadzie się nie zajmowano. "Zarzewie" - tajna organizacja młodzieży akademickiej oraz gimnazjalnej wychowująca i szkoląca kadry dla przyszłej walki zbrojnej o niepodległą Polskę - skupiała w swoich szeregach głównie młodzież ze środowisk inteligentnych, która - jak znaczna część ówczesnej inteligencji polskiej - będąca pod wpływami idei pozytywistycznych i socjalistycznych odczuła od religii i Kościoła. "Elcuzis" wreszcie było stowarzyszeniem o charakterze jednoznacznie religijnym - katolickim, dążącym do odrodzenia narodowego Polaków przez odnowę religijną i moralną.

Każda z trzech wymienionych organizacji podejmując próby adaptacji skautingu na grunt polski starała się przekazać kryształującemu się ruchowi własne założenia ideowe, także swój stosunek do religii. Kiedy więc wiosną 1911 roku na terenie Galicji skupiono całą pracę skautową w legalnie działającym "Sokole", zarysował się ostry konflikt dotyczący stosunku ruchu do religii. Znaczna część działaczy związanych z "Zarzewiem" /między innymi Henryk Bagiński i Mieczysław Heugebaucher/ zdecydowanie opowiedziała się za konsekwentnym pomijaniem treści religijnych w wychowaniu skautowym i protestowała przeciwko próbom usztywnienia go ruchem wyznaniowym. Przeciwnie - instruktorzy wywodzący się z "Elcuzis" /przede wszystkim Ignacy Kozielewski/, którzy traktowali skauting jako organizację wychowania moralnego i religijnego, organizację polskiej młodzieży katolickiej. Dla nadania skautingowi polskiemu takiego cha-

rakteru i przeciwstawienia się - jak pisano wówczas - *militarystycznemu dążeniu Zarzewiaków i gimnastycznych Sokolów* zawiązali oni na przełomie lat 1911 i 1912 niejawną zgrupację zwany "Gwiazdą".

Dyskusje nad obliczem polskiego skautingu trwały przez wiele lat. Mimo osobistego zaangażowania się w tę sprawę twórcy skautingu, Roberta Baden Powella, który w liście do jednego z polskich działaczy skautowych pisał: "Jeśli wazce skautostwo miało być bez Boga, lepiej żeby go wcale nie było" - do wybuchu pierwszej wojny światowej nie wypracowano w tej materii wspólnego stanowiska.

Jedną z najważniejszych konsekwencji tych sporów ideowych były trudności ze sformułowaniem jednolitej roty przyrzeczenia i prawa skautowego. W pierwszym polskim podręczniku skautowym "Scouting jako system wychowania młodzieży" Andrzeja Małkowskiego nie znalazła się ani jedna wzmianka dotycząca religii i wychowania religijnego! Nie zajmując w opornej kwestii zdecydowanego stanowiska Małkowski - sam głęboko religijny - nie zdecydował się na uminiejszenie w swoim podręczniku jakiegokolwiek wroju przyrzeczenia, ale nawet w trakcie podjętych w 1913 roku oficjalnych prac nad sformułowaniem roty polskiego prawa skautowego sprawy dotyczące religii nie doczekały się jednoznacznego rozwiązania.

Wybuch pierwszej wojny światowej odsunął na nieco dalszy plan zagadnienie stosunku polskiego skautingu do religii. W niemal jednolitym dotychczas organizacyjnie ruchu doszło do szeregu rozłamów na tle zróżnicowań politycznych społeczeństwa polskiego. Większość polskich organizacji skautowych zaangażowała się bezpośrednio w walkę o odzyskanie niepodległości. Wielu harcerzy służba Ojczyźnie zaprowadziła w szeregi walczących ze sobą armii zaborczych. W każdej z organizacji rolę wychowania religijnego w harcerstwie rozumiano nieco inaczej.

W pierwszych dniach listopada 1918 roku doszło do zjednoczenia całego polskiego skautingu w Związek Harcerstwa Polskiego. Poza jego szeregami znalazły się jedynie skautowe organizacje mniejszości narodowych zamieszkujących ziemie polskie - żydowska "Hacozer Hacair" i ukraińska "Płast".

W ZHP, który od momentu swego powstania był organizacją młodzieży polskiej, kwestia stosunku harcerstwa do różnych wyznań religijnych nie była taka paląca jak w Zachodniej Europie, bowiem przytaczająca większość harcerzy i instruktorów była wyznania rzymsko-katolickiego.

Znacznie
cd. na s. 30

trudniejsza do rozwiązania była kwestia harcerzy niewierzących, dla których w skautingu badenpowellovskim, teoretycznie przynajmniej, nie widziano miejsca. W harcerstwie sytuację harcerzy niewierzących starano się rozwiązać przez świadome nawiązywanie do tradycji w Polsce powiązań wartości religijnych i patriotycznych. Ogłoszona przez Naczelnicztwo ZHP w sierpniu 1921 roku rotę przyrzeczenia harcerskiego *Ma szczerą wolę całym życiem poświęcić służbę Bogu i Ojczyźnie, nic nie chcąc pomóc bliźnim, być posłusznym prawu harcerskiemu* interpretowano w ten sposób, że służba Ojczyźnie stanowi dla harcerza formę służby Bogu i odwrotnie.

Przez cały okres międzywojenny w codzienną pracę drużyn wplacone były naturalne elementy życia religijnego. Podczas obchodów świąt narodowych, zlotów czy obozów młodzież harcerska pod kierunkiem przełożonych uczestniczyła w mszach św. W okresie Wielkiej Nocy harcerze zaciągali warty przed grobem Chrystusa. Na obozach dzieci zaczynały i kończyły modlitwą. Na terenie wielu obozów budowano kapliczki obozowe. Księża bywali instruktorami ZHP pełniąc niktąd w polskim harcerstwie ważne funkcje, aż do funkcji Przewodniczącego ZHP włącznie. Od 1925 roku istniała funkcja Kapłana Naczelnego ZHP obciążana w porozumieniu z Episkopatem Polski.

Obecność elementów religijnych zaobserwować można nawet w terminologii wypracowanej w pierwszych latach istnienia skautingu polskiego. Występującemu w przyrzeczeniu badenpowellovskim obowiązki pomocy każdemu c z ł o - w i e k o w i odpowiada w rotie polskiej nakaz służby b l i ż - n i c m u - w ewangelicznym rozumieniu tego słowa. Umiejętność pomocy w nagłych wypadkach to nie ratowanie życia, lecz o a m a r y t a n k a - terań świadomie nawiązujący do przypowieści o miłosiernym Samarytaninie.

A jednak, mimo presji instruktorów związanych z obozem narodowym, pragnących często uczynić harcerstwo organizacją wyłącznie polskiej i katolickiej młodzieży, Związek Harcerstwa Polskiego nie stał się do zakończenia II wojny światowej organizacją o charakterze wyznaniowym, był otwarty dla różnych wyznań i narodowości. Co bardzo charakterystyczne, Związek Harcerstwa Polskiego nie nalażał nigdy do międzynarodowego Biura Skautów Katolickich.

W latach drugiej wojny światowej w konspiracyjnym Związku Harcerstwa Polskiego /Szare Szeregi oraz Organizacja Harcerzy/ elementy życia religijnego traktowano, podobnie jak w okresie międzywojennym, jako naturalną część życia drużyn, uczestniczących w mszach św. za dusze poległych, w intencji rannych czy aresztowanych, we wspólnych rekolekcjach, spowiedziach i Komunii św. przed akcją itp. Władze konspiracyjnego ZHP, poważnie traktując zagadnienie wychowania religijnego, nadal nie chciały dopuścić do nadania organizacji charakteru wyznaniowego; członkami organizacji, a nawet jej

władz centralnych byli Polacy nie tylko wyznania rzymsko-katolickiego.

Taki sposób traktowania zagadnienia wychowania religijnego oraz przyjęta jeszcze w międzywojennym ZHP zasada nieangażowania harcerstwa w spory partyjne stały się przyczyną rozłamu, jaki nastąpił w polskim harcerstwie w pierwszych miesiącach drugiej wojny światowej.

Zródła konfliktu tkwiły jeszcze w okresie międzywojennym. W latach trzydziestych część środowisk instruktorów oraz niektórzy działacze polityczni oskarżali skauting badenpowellovski, a pośrednio także ówczesne władze ZHP, o tendencje kosmopolityczne i deistyczne. Domagano się, by polskie harcerstwo przybrało jednoznacznie narodowy i katolicki charakter. W pierwszych miesiącach wojny instruktorzy związani z obozem narodowym, nie akceptując kosztujących się władz konspiracyjnego ZHP, podjęli decyzję o utworzeniu odrębnej polskiej i katolickiej organizacji - Harcerstwa Polskiego, używając konspiracyjnego kryptonimu Hufce Polskie.

Wychowawcze założenia Hufców sformułowano już w 1940 roku. Chciano wychowywać młode pokolenie Polaków w duchu ideologii nacjonalistycznej i katolickiej, uodpornić je na wpływy innych ideologii oraz przygotować młodych do udziału w społeczno-politycznej działalności obozu narodowego.

W swojej pracy Hufce Polskie w istotnych punktach odeszły od badenpowellovskiej metody skautowskiej, przyjmując przekaz werbalny jako podstawową formę wychowania ideowego. Gawędy o tematyce patriotycznej i religijnej, lektura odpowiednio dobranych książek, sformalizowane życie religijne były stałym i wiódącym elementem pracy drużyn i zastępów. Tróściami religijnymi i nacjonalistycznymi przeniknięta była całość pracy. Między innymi po raz pierwszy w historii harcerstwa do regulaminów określających sposób zdobywania stopni harcerskich włączono elementy wiedzy religijnej /znajomość Ewangelii, pieśni, modlitw itp./ i życia religijnego.

* * *

Po drugiej wojnie światowej, w ramach dążenia do likwidacji wszelkich tradycji i autentycznych form życia społecznego, kilkakrotnie podejmowano próby likwidacji polskiego harcerstwa lub całkowitego podporządkowania go partii komunistycznej i jej ideologii. Z reaktywowania po wojnie ZHP usuwano autentyczną kadrową instruktorską, rezygnowano z podstawowych elementów metodyki harcerskiej, z harcerskich tradycji i ideałów. Jednym z najważniejszych osiągnięć na drodze do opanowania ZHP było wyrugowanie zeń wszelkich elementów religijnych. Podczas kolejnych zmian rot przyrzeczenia i prawa harcerskiego usunięto z nich element służby Bogu /ostatczna likwidacja nastąpiła wraz z wcieleniem ZHP do Związku Młodzieży Polskiej/. Zlikwidowano instytucję kapelanów harcerskich, zakazano instruktorom

prowadzenia młodzieży do kościoła, wprowadzono do Statutu ZHP sformułowanie, mówiące że ZHP jest organizacją świecką, w swojej pracy wychowawczej kieruje się zasadami naukowego światopoglądu.

Jednocześnie przez cały okres powojenny w ramach kosztowanego przez władze komunistyczne ZHP lub obok niego funkcjonowały autentyczne środowiska harcerskie. W okresach zniczonej presji ideologicznej na organizację, a więc w latach 1945-48, 1956-59, 1980-81, w znacznej części ZHP ożywiały się tendencje odnowiczołkic, wyrażające się między innymi w powrocie do wartości religijnych. Powracano do tradycyjnego przyrzeczenia i prawa harcerskiego, mówiącego o służbie Bogu, Polsce i bliźnim, w kościołach zaczynały się pojawiać zastępy i drużyny harcerskie w zwykłym mundurach, odraczały się instytucja kapelanów harcerskich.

W ostatnich latach wiele niezależnych środowisk instruktorów ponownie podjęło dyskusję nad formami harcerskiej służby Bogu.

W wielu miastach zrodziła się instytucja duszpasterstw harcerskich. Prowadzą one pracę formacyjną z młodzieżą należącą do oficjalnego ZHP, odcinającą się formalnie od wszelkich form wychowania religijnego.

Niezależnie od tej inicjatywy, okierowanej ku członkom ZHP, w kilku ośrodkach powstały środowiska czy nawet całe organizacje harcerskie niezależnie od oficjalnego ZHP. Nie będąc uwikłanymi w dwuznaczne moralnie i wątpliwe wychowawczo półjawne działania w ramach ZHP, ich władze otwarcie nawiązują do tradycyjnego modelu polskiego harcerstwa, również w zakresie wychowania religijnego i religijnych wartości. Co znamienne, w większości przypadków środowiska takie znalazły oparcie w miejscowych kościołach czy stowarzyszeniach katolików świeckich.

* * *

Polskie harcerstwo nigdy nie było organizacją religijną. Z wyjątkiem epizodu Hufców Polskich nie miało formalnie wyznaniowego, katolickiego charakteru. A jednak odegrało chyba szczególną rolę w kształtowaniu współczesnej religijności Polaków. W pierwszych dziesięcioleciach swego istnienia przyczyniło się do ożywienia religijnego polskiej młodzieży - szczególnie młodzieży inteligentnej.

Religijność harcerska była może nie pogłębiona intelektualnie, zwykle tradycyjna w swoich formach, ale jednocześnie bardzo autentyczna i żywotna przez swoje związki z praktyką życia. Szczególny dowód tej żywotności możemy zaobserwować w Polsce powojennej. Mimo wieloletniej presji ideologicznej grona instruktorów i całej środowiska harcerskie umiały przechować i przekazać kolejnym pokoleniom młodych Polaków harcerski ideał służby Bogu, Polsce i bliźnim.

Krzysztof Stanowski

HENRYK LITWIN

Kościół greckokatolicki w dziejach Polski

część II.

Zmienne losy. Wiek XVIII i XIX

Zwycięstwo odniesione nad prawosławiem, na przełomie XVII i XVIII w. diametralnie zmieniło sytuację Kościoła greckokatolickiego. Podczas gdy dotąd cały niemal wysiłek organizacyjny i propagandowy związany był z utrzymaniem unii przy życiu i działalnością zjednoczoną, teraz na czoło wysunęły się problemy doktryny, obrządku i duszpasterstwa.

Na początku XVIII wieku na czele Cerkwi zjednoczonej stał metropolita, któremu podlegało, prócz archidiecezji, arcybiskupstwo połockie i 6 biskupstw: lwowskie, łuckie, włodzimierskie, pińskie, przemyckie i chełmskie. Administracja diecezjalna ukształconą była na wzór łacińskiej. Metropolita, zrazu w znacznym stopniu niezależny od papieża, został w XVIII w. ograniczony w swych prerogatywach. Zakwestionowano w.in. pełnię jego władzy sądowej względem biskupów i swobodę nominacyjną.

Wzmocnienie podporządkowania arcybiskupa unii papieżowi to tylko jeden z objawów postępującej łacynizacji Kościoła greckokatolickiego. Jej wyrazem były przede wszystkim uchwały synodu unickiego, który odbył się w Zamościu w roku 1720. Zjazd ów nakazał umiarkowanie w księgach liturgicznych formuły *filioque* oraz wprowadzenie imienia papieża do duplikacji w czasie mszy i innych nabożeństw. Ustalono też obowiązujący kalendarz świąt kościelnych, do którego wprowadzone np. nieznane Cerkwi wschodniej uroczystości Bożego Ciała. Synod określił nowe przepisy dotyczące sprawowania sakramentów, uzupełniając je na wzór łaciński o namaszczenie chorych. Skutkiem uchwał zamojskich były również: upowszechnienie się mszy czytanej i odbywania procesji. Jednocześnie nantępowały zmiany samorzutne, oddolne. Szerzył się kult Niepokalanego Poczęcia, świętego Józefa Kuncewicza. Zmianom ulegały elementy ubiorów księży i wyposażenia świątyni.

Ustawodawstwo synodu zamojskiego miało wielkie znaczenie dla Kościoła unickiego. Pozwoliło mu okrzepnąć organizacyjnie i doktrynalnie. Właściwie dopiero od tego momentu zyskiwał on swoje własne, odrębne oblicze rozróżnialne nie tylko dla ludzi wykształconych, ale także dla szeregowych wiernych, którzy dotąd najczęściej nie byli w stanie stwierdzić, czy odprawiający liturgię pop jest prawosławnym czy uniatą.

Od kiedy ustała permanentna rywalizacja z prawosławiem, na pierwszy plan wysunęły się sprawy zwykłej, codziennej pracy duszpasterkiej. Okazało się wówczas, że najtrudniejsze było przeprowadzenie reform na poziomie parafii. Na przeszkodzie stał niski poziom

przygotowania duszpasterzy. Ograniczono przede wszystkim liczbę kapłanów. Wybierano tych, którzy reprezentowali wyższy poziom wykształcenia i kwalifikacji moralnych oraz dysponowali odpowiednią bazą materialną. I tak kosztów ilości w drugiej połowie XVIII wieku podniosła się w sposób istotny jakość pracy duszpasterkiej.

Było to możliwe jedynie dzięki rozwinięciu szkolnictwa unickiego. U progu XVIII stulecia przygotowano teologiczne zapewniał klerowi greckokatolickiemu jedynie alumnat papiecki w Wilnie. W pierwszej połowie tego wieku powstały seminaria we Lwowie, Włodzimierzu, Chełmie i Łucku, ale najwięcej zawdzięczała Cerkiew zjednoczona bazylianom i ich działalności na tym polu.

Bazylianie – jedyne wówczas zgromadzenie zakonne unickie – otanowili główną siłę Kościoła wschodniego. Obok istniejącej od 1617 roku prowincji litewskiej powstała w 1739 r. kolejna – koronna, zwana też polską. Połączyły się one w 1743 r. na kapitule generalnej w Dubnie, co otworzyło drogę do pierwszego rozbioru złotą drogą w dziejach zakonu. Szybko rozwijające się szkolnictwo bazylikańskie dorobiło się w tym czasie kilkunastu ośrodków studiów teologicznych, filozoficznych i retorycznych o wysokim poziomie nauczania. Ordo Sancti Basilii Magni prowadził również liczne publiczne szkoły średnie, zajmując w tym względzie miejsce zaraz po jezuitach i pijarach, oraz szkoły parafialne.

Po pierwszym rozbiore i kasację zakonu jezuitów bazylianie aktywnie uczestniczyli w reformie szkolnictwa, podjętej przez Komisję Edukacji Narodowej. Ich placówki zostały podporządkowane zarządowi Komisji i wprowadziły nowy program nauczania. Zakon odznaczał się szczególną gorliwością w realizowaniu zaleceń KEN.

XVIII wiek był epoką burzliwego rozwoju drukarstwa bazylikańskiego, co pozostawało w ścisłym związku z ożywieniem działalności naukowej członków zakonu, szczególnie w zakresie teologii i historii.

Unia, którą jeszcze niedawno nazywano *kościółem bez wiernych*, wykorzystywała oprzyjającą koniunkturę XVIII w. Stała się realną siłą na wyznaniowej mapie Rzeczypospolitej, choć wciąż brakowało jej wiernych pochodzenia szlacheckiego. Największe jednak niebezpieczeństwo groziło grekokatolizmowi ze strony konsekwentnie protegującej prawosławie Moskwy, tym bardziej, że płebscy, ruscy wyznawcy wciąż łatwo ulegali antyłacińskiej propagandzie i naciskom. Łacynizacja i polonizacja Cerkwi zjednoczonej spotykała się, szczególnie na kresach, z instynk-

townym oporem, podsyconym przez Rosję, która przeciwko na arenie politycznej zyskała w wieku XVIII ogromną przewagę nad Rzeczpospolitą.

Już w czasie wojny północnej obecność wojsk rosyjskich w Polsce i na Litwie zagroziła unickiemu stanowi posiadania. W 1705 roku car Piotr I osobiście nadzorował egzekucję kilku bazylianów w Połocku. Z jego inicjatywy aresztowano i wywieziono do Rosji biskupa łuckiego Dionizego Żabokrzyckiego. Te represje spowodowały częściowe cofnięcie się wpływów unii na kresach. Wymogi wielkiej polityki zmusiły co prawda *gosudara* do złagodzenia kursu wobec grekokatolicyzmu, car doprowadził jednak jeszcze do obsadzenia długo wakującego biskupstwa prawosławnego w Mohylewie (1720). Od tego momentu Cerkiew dyzunicka w Rzeczypospolitej była całkowicie podporządkowana Moskwie i bez skrępowań wykorzystywana w celach ścisłe politycznych. Tak właśnie było w końcu lat sześćdziesiątych XVIII wieku, gdy Katarzyna II podjęła prowokacyjną kampanię w obronie innowierców w Rzeczypospolitej. Pod protekcją imperatorowej zawiązały się konfederacje szlachty nickatolickiej (1767). Prawosławna trudno było znaleźć, ale ostatecznie zwyciężono do Śluka na wzajemnie kilkunastu zdecyzytowanych i zahakanych *herzbawych* z jakichś zapomnianych przez świat i ludzi zaścianków. Ufność w opiekę carowej popchnęła jednak kler dyzunicki do wystąpienia przeciw unii. Tam, gdzie poparła je ludność chłopska, doszło do ruchawek i gwałtów. Na wschodniej Białorusi i Ukrainie pod groźbą kos i opisu wielu unickich proboszczów "dobrowolnie powrócili" do prawosławia.

Była to jedynie przegrzywka do krwawej ludowej rewolty na Ukrainie zwanej *koliszczyną*, która miała miejsce w roku 1768. Zlikwidowano wówczas setki parafii unickich, mordowano księży i wiernych. Równie bezlitosny był polski odwet, wspomniany zresztą przez Rosję, zanipokojoną rozmiarami plebejskiego ruchu. Kiedy sytuacja na kresach uspokoiła się i ustały naciski z obu stron, tylko częściowo udało się Kościołowi grekokatolickiemu zrehabilitować swój stan posiadania. Trzy lata później nastąpił pierwszy rozbiór Polski, na skutek którego unia poniosła – jak się okazało – nieodwracalne straty. Diecezja połocka znalazła się w granicach Rosji, co oznaczało początek jej końca. Biskupstwa lwowskie i przemyskie pochołnął zabór austriacki. Ich losy potoczyły się jednak odmiennie, o czym dalej.

Sejm Wielki (1788-1792) przywrócił Cerkwi zjednoczonej, tak jak

sakaj Rzeczypospolitej, odrodzenie nadziei na lepszą przyszłość. Pogłowie zdecydowali się na wprowadzenie metropolity unickiego do senatu, znakomicie w ten sposób znacząc autorytet i znaczenie jego Kościoła. Ogłoszono również autokofalicę Cerkwi prawosławnej w Rzeczypospolitej, ce miało ją uchronić od wpływu rosyjskich. II rozbiór Polski przekreślił dzieła Sejmów czterdziestego. Nad unią zawieszono widok całkowitej zagłady.

Kościół greckokatolicki pozostał do końca wierny Rzeczypospolitej, popierając powstanie kościuszkowskie. Był to już jednak ostatni akt jego historii w państwie staropolskim.

Wyznawcy unii znaleźli się w granicach wszystkich państw rozbiorczych. Najkrótsze były dzieje greckokatolicyzmu w Prusach. W tym zakresie funkcjonowało blisko 70 parafii na terenach byłego Wielkiego Księstwa Litewskiego i w okrogu białostockim. W 1797 roku Fryderyk Wilhelm III utworzył biskupstwo unickie z siedzibą w Supraślu. Już jednak w 1807 roku po klęsce w wojnie z Napoleonem Prusy utraciły tereny zamieszkałe przez katolików obrządku ruskiego. Traktat w Tyliczu usankcjonował przyłączenie Białostoczczyzny do Rosji a Suwalszczyzny do Księstwa Warszawskiego.

W zaborze rosyjskim Cerkiew zjednoczona stanęła wobec problemu konsekwentnych przesładań ze strony aparatu państwowego. Szczególnie energicznie były działania cesarza na tzw. ziemiach zabranych czyli poza Królestwem Polskim. Już po pierwszych rozbiórce ukazy Katarzyny II podporządkowały białoruskie klasztory bazylianów arcybiskupowi połockiemu, zrywając w ten sposób ich związki z władzami zakonu. Noc działania tych zarządzeń rozszerzono następnie na tereny kolejnych zaborów. W 1798 roku caryca zlikwidowała arcybiskupstwo unickie z wyjątkiem połockiego. Skonfiskowano też ich majątki.

Systematycznie pozbawiano źródła utrzymania proboszczów greckokatolickich, co zmuszało ich do przyjęcia prawosławia. Pozbawieni pastery wierni również ulegali naciskom administracyjnym. W ten sposób zlikwidowano praktycznie unię na Ukrainie. Wołyniu i Podolu, gdzie przeszedł jeszcze za czasów Rzeczypospolitej była ona dość silna. Tereny białoruskie, później objęte tą szczytną akcją "nieujną" oparły się na razie naciskom. Po śmierci Katarzyny II przysiężli lata wytnienia dla greckokatolicyzmu. Nawet I i Aleksander I nie zrozumieli co prawda z naciskom unifikacyjnych, ale zaprzestali otwartych represji.

Wznowił je dopiero Mikołaj I w latach trzydziestych XIX wieku. Odebrano świętym patronom (najczęściej Polakom) prawo obsadzania parafii. Administracyjnie zlikwidowano wiele klasztorów bazylianów. Pozyskany przez rząd carski sufragan połocki Józef Siewaszko doprowadził do zwołania w roku 1839 synodu, który uchwalił ponowne zjednoczenie (wossojedinienie) Kościoła greckokatolickiego z prawosławnym. Decyzja podjęta przez odpowiednio dobrano i poddane na-

biiskom grono nie została uznana przez znaczną część kleru i wiernych. "Nawracano" ich więc rekrutacją, aresztowaniami i kosaćką nahażką. Wszystkie kościoły oddano prawosławnym a zakon bazylianów uległ likwidacji. Tam, gdzie stawiano opór, posypały się aresztowania, wyroki i zsyłki. Z publicznym potępieniem całej tej akcji i w ogóle polityki wyznaniowej cesarstwa wystąpił w 1842 roku papież Grzegorz XVI. Nie mogło to jednak zmienić sytuacji. Kościół unicki w Rosji przestał istnieć.

Nieco dłużej przetrwał w Królestwie Polskim. Istniejąca tu diecezja chełmska obejmowała wszystkie parafie greckokatolickie w Kongresówce (także te na Podlasiu, Suwalszczyźnie i Lubelszczyźnie). Od 1830 roku była ona podporządkowana bezpośrednio papieżowi. Obrządek był tu silnie zlatynizowany, a wierni - spolonizowani. Już w latach trzydziestych XIX wieku rząd carski zaczął ograniczać swobodę działania Cerkwi zjednoczonej. Kiedy administracyjne naciski nie daly požądanych efektów i wyzwał na jaw liczący udział unitów w powstaniu styczniowym, chwyciono się radykalnych środków. Aresztowano i zsyłkę biskupa chełmskiego Jana Kalinowskiego w 1866 roku rozpoczęły opokę represji, których apogee przypadło na lata 1873-1875. Wprowadzono wówczas zakazy w liturgii i wyposażeniu świątyni, obliczone na delatynizację. Były one realizowane przy pomocy regularnych wojsk. Wierni stawili opór. Doszło do starć, w których padli zabici. Po krwawej pacyfikacji uroczyste proklamowano powrót diecezji na łono Cerkwi prawosławnej. Unia została do podziemia. Nie po raz ostatni w jej dziejach zakonopirani duchowni zaczęli krążyć po wsiach, odprawiając potajemne msze, udzielając sakramentów w lasach czy plonicach. Kiedy w 1905 r. Mikołaj II wydał ukaz tolerancyjny, pozwalający prawosławnym na zwolanie religijne, blisko połowa "nawróconych" w latach 1873-1875 wróciła do katolicyzmu, tyle że w obrządku rzymskim, likwidując unię utrzymano bowiem w mocy.

Inaczej potoczyły się losy Cerkwi zjednoczonej w zaborze austriackim, choć początki były podobne. Także i tu odcięto diecezję i bazylianów od kontaktów z władzami pozostałymi w Rzeczypospolitej (1782). W roku 1783 podporządkowano zakon miejscowym biskupom i ograniczono rekrutację nowicjuszy, likwidując jednocześnie ośrodki studiów teologicznych i filozoficznych. Kolejne restrykcje opadły na bazylianów w związku z zainicjowaną przez cesarza Józefa II kasacją zakonów w państwie habsburskim. W efekcie z 42 klasztorów greckokatolickich w Galicji około 1800 r. pozostało tylko 22.

Habsburgowie nie zamierzali jednak likwidować unii. Celem wszystkich tych ograniczeń była raczej depolonizacja wyznania. Stało się to jasne na początku XIX wieku, kiedy utworzono metropolię lwowską (1808) składającą się z dwóch diecezji - arcybiskupiej i przemyślańskiej. Przeprowadzono również zmiany w organizacji szkolnictwa. W szkołach zapanował język

ruski (ukraiński).

Od połowy XIX wieku, kiedy władze republikańskie konsekwentnie politykę nastrojania unickiej ludności ukraińskiej przeciw galicyjskim Polakom, Kościół greckokatolicki miał zapewnione poparcie cesarza. Identyfikował je w latach czterdziestych tego stulecia. W roku 1882 kongregacja bazylikańska w Dobromilu przeprowadziła referatę zakonu. M.in. restytuowano wówczas ośrodki studiów teologicznych i filozoficznych dla nowicjuszy. Trzy lata później papież konsekwentnie nową diecezję unicką z siedzibą w Stanisławowie. Na przełomie wieków XIX i XX podjęto nawet próby akcji misyjnej w Rosji.

Greckokatolicyzm stał się w tej epoce naradowym wyznaniem Ukraińców galicyjskich. Kuria metropolitania we Lwowie przejęła funkcję głównego rzecznika dańców autonomicznych a potem niepodległościowych. Apogeeum tych działań przypadło na okres zapoczątkowany w 1900 r. objawieniem archikatedry św. Jura przez Andrzeja Szczępińskiego (metropolita do 1944 r.).

W czasie I wojny światowej Cerkiew unicka przechodziła znaczne koleje losu. Represjonowana przez okupacyjne władze rosyjskie, kiedy to m.in. aresztowano Szczępińskiego (1915), odwróciła się po udanej ofensywie wojsk państw centralnych (II poł. 1915). Po klęsce Austro-Węgier (listopad 1918) duchowni greckokatolicy, z uwzględnieniem z więzienia Szczępińskiego na czele, wzięli czynny udział w formowaniu Zachodnioukraińskiej Republiki Ludowej, weszli w skład jej konstytuanty - ukraińskiej Rady Narodowej. Jednocześnie pojeżdżali raz jeszcze akcją misyjną na terenach wschodnioukraińskich. Ostatecznie jednak Galicja wschodnia zajęta została przez wojska odradzającego się państwa polskiego, co na forum międzynarodowym usankcjonowała Rada Ambasadorów w roku 1923. Taki rozwój wypadków przesądził o niechętnym stosunku hierarchii unickiej do Otocunku Rzeczypospolitej.

Wiek XVIII i XIX to epoka lotnych zmian w Cerkwi zjednoczonej. W pierwszym stuleciu tego okresu, kiedy zdobywała sobie ona coraz więcej wiernych i krzepła organizacyjnie była wciąż jeszcze identyfikowana z polskimi aparatami państwowymi i oceniana jako narzędzie polityki polonizacji żywiołu ruskiego w Rzeczypospolitej. Był to jednak onaj zbyt pochopny. Zadali mu kłam dzieje unii w XIX wieku. Okazało się wtedy, że pozbawiony jakiegokolwiek pomocy administracyjnej Kościół greckokatolicki stawiał opór represjom rosyjskim. Nie przetrwał ich, ale udokumentował, iż był świątynią żywej wiary, a nie marionetkową konstrukcją organizacyjną. Z kolei jego dzieje w zaborze austriackim dowiodły, że unia z Rzymem nie otanowiła automatycznego zagrożenia dla odrębności narodowości ruskiej (ukraińskiej). Ta konatacja podważa do dziś pokutującą w historiografii tezę, interpretującą wszystkie zjednoczeniowe projekty i wyliczki, jako zamach na byt narodów zachodniej Rusi.